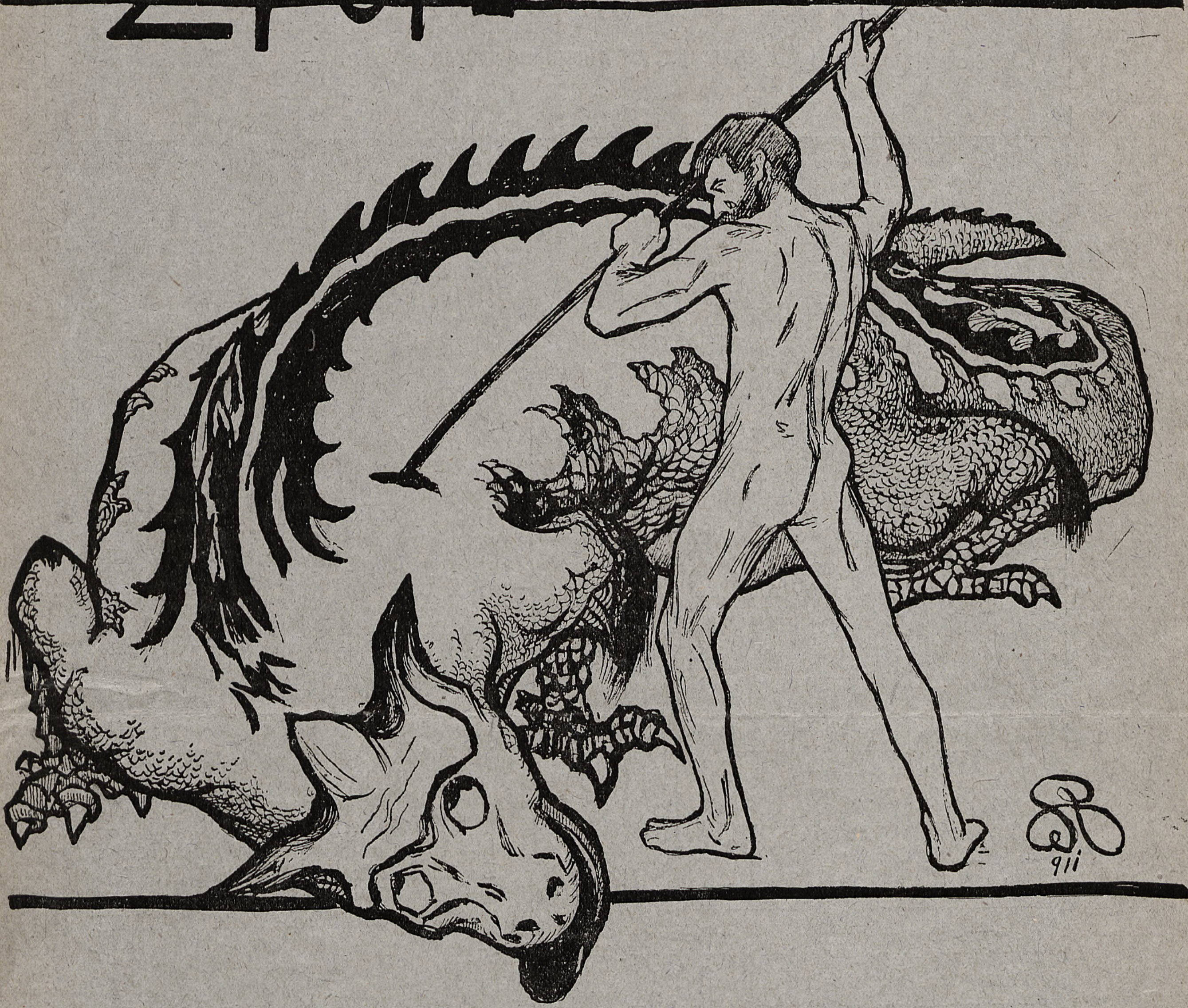
ŻYCIE



ROCZNIK II. ZESZYT XXXIX.

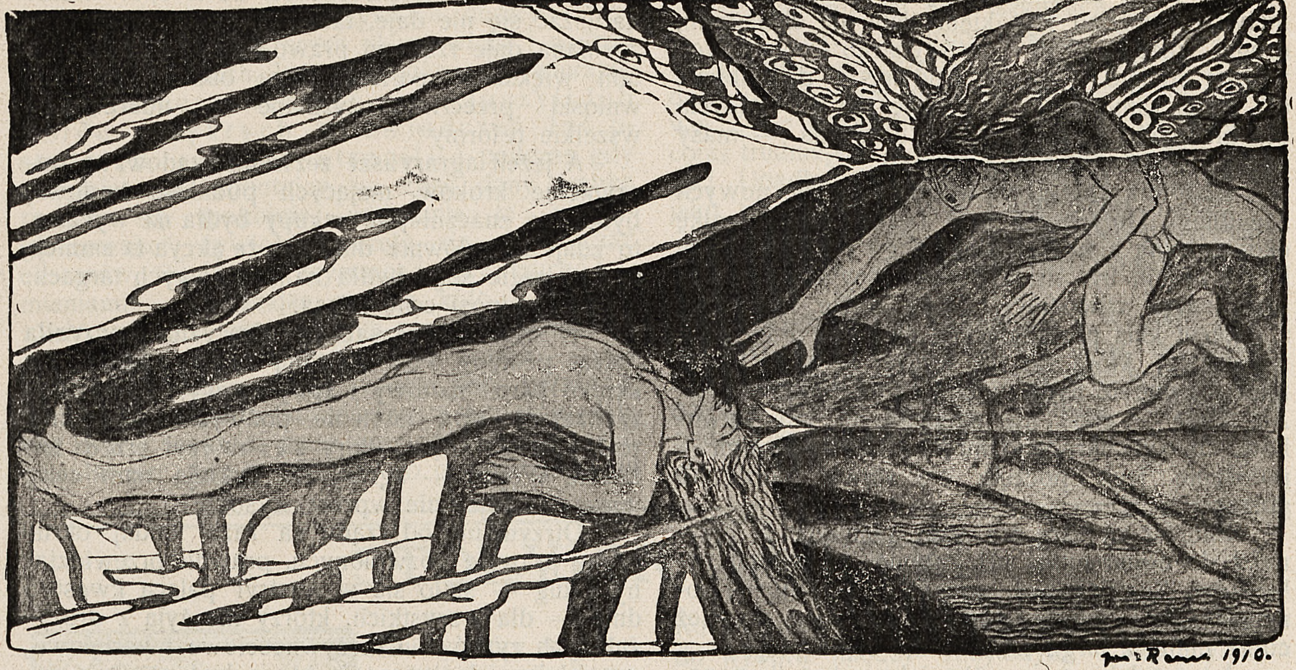
DNIA 23. WRZEŚNIA 1911 R.

Wydawcy:
Dr. Aleksander LISIEWICZ. Hipolit ŚLIWIŃSKI.
Redaktor odpowiedz.: Dr. MARYAN KUKIEL.

REDAKCYA I ADMINISTRACYA WE LWOWIE,
ULICA DĄBROWSKIEGO L. 2.

NUMER ZŁOŻONY I ODBITY W „DRUKARNI POLSKIEJ“ („KURJERA LWOWSKIEGO“) LWÓW CHORĄŻCZYZNY 31. KLISZE WYKONANO W ZAKŁADZIE ART. „TĘCZA“.

DR. H. LANDAU: *Rozruchy drożyżniane.*
X.: *Stołypin zabity.*
F. GWIŻDŻ: *Poezye.*
J. KLECZYŃSKI: *Julek (portret współczesny).*
J. KADEN: *O Kordyanie.*
M. RETTINGER: *Lwowska Bohême.*
AL. R...SKI: *List berliński.*
SILVA RERUM: *O bojkot szkoły rosyjskiej. — Z Rady miasta. — Humor proj. Starzyńskiego. — Język w metrykach galicyjskich. — Majaczenia w starych dworach.*
Z RAPTULARZA.



ŻYCIE

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY i LITERACKI.

DR. HELENA LANDAU.

ROZRUCHY DROŻYŹNIANE.



Na ulicach Wiednia padły strzały do wzburzonego tłumu, który „nie chciał się rozejść“ na wezwanie policyi, nie uciekł na widok wojska i o dziwo! w wybuchach rozpacznego gniewu miotał się i szalał, choć parę tysięcy ułanów, dragonów i piechoty zastąpiło mu drogę, choć błysnęły mu w oczy manlichery i bagnety. Tłum złożony z ludzi, którzy codziennie w bezsilnym gniewie zaciskają pięście, gdy z ust piekarza, rzeźnika i sklepikarza pada na nich wieść hiobowa, że *znów odjęto im część dziennej strawy* — stawił „czynny opór władzy“ — zbrojnej i konnej, nieponoszącej karnej odpowiedzialności za swe służbowe czyny!

Kilkaset szyb wybitych zabrzękło w powietrzu, kilka wozów tramwajowych legło w poprzek ulicy, a więc by się powadze władzy stało zadosyć — padł młody robotnik, przebity bagnetem, kilkudziesięciu poniosło lżejsze lub cięższe rany.

Dzień przed rozruchami, stolica wydawała się spokojną — ale kogo te wypadki naprawdę zaskoczyły, kto sobie nie zdaje sprawy ze źródła tego gniewu i tej rozpacznej odwagi, której bolesnie-jaskrawym przejawem jest naga pierś robotnika, wołającego do policyanta „przebij“ — ten chyba ślepy jest i głuchy na wszystko, co się w okół nas od lat paru dzieje. Z końcem roku 1907 wybuchł w Austryi kryzys przemysłowy, pozbawiając robotników zajęcia, wydzierając rodzinom robotniczym ostatnie zasoby uciułane na ciężką chwilę. Gospodarka dość szybko uporała się z kryzysem, wracając zwolna ale stale do prawidłowego biegu zapotrzebowania na przemysłową pracę. Robotnik zdołał przeprzeć tu i ówdzie drobne polepszenie płacy, zawarł układy taryfowe, zabezpieczające mu warunki pracy na lat parę. Ale wszystko to — zawiodło go w sposób jak najboleśniejszy!

W roku 1906 przy odnawianiu traktatów handlowych i ugody z Węgrami agraryusze w sojuszu z magnatami przemysłowymi zdołali przeprzeć znaczną podwyżkę ceł na środki spożywcze. Ogół ludności, uśpiony w swej czujności długim szeregiem lat urodzaju i niskich cen zboża, nie dał się poruszyć do żywszej akcyi w sprawie taryfy celnej. Nie liczono się z możliwością tak szybkiej zmiany targowych warunków — pozwolono agraryuszom na przygotowanie strasznej broni!

Cła, obojętne do roku 1906 przy obfitości zboża, wobec słabnącego nagle dowozu z Ameryki, gorszych urodzajów, *stały się czynnikiem kształtującym cenę.* Mąka stawać się

poczęła coraz droższą a mięso, którego dowóz nietylko obłożono wysokiem cłem, ale cichaczem, drogą rozporządzeń weterynarno - policyjnych wprost odcięto — coraz trudniejsze do nabycia dla mniej zamożnych - prawie nie do zdobycia dla biednych! Rozpoczęła się drożyzna — masy poczęły tracić grunt pod nogami.

Robotnik znalazł się wobec zupełnie nowych zagadnień. Dotychczas znał bezpośrednią walkę ekonomiczną z zatrudniającym go przedsiębiorcą, której bronią był strejk prowadzony przy pomocy organizacyi zawodowej. Znał walkę polityczną z ogółem klas posiadających o pełnię praw obywatelskich, którą raz już wygrał na ulicy, którą miał prowadzić nadal w ciałach ustawodawczych. Ale nagle — choć nie zmniejszono mu zarobków, choć nie ukrócono mu praw obywatelskich — położenie jego poczęło się stawać coraz to gorsze.

Zaniósł na targ ten sam pieniądz a przyniósł do domu mniej niż dawniej wszelkich wiktuałów. Zastrejkował, wygrał może! Nic nie pomaga! Choć więcej na targ zaniesie, przecież coraz mniej z targu na stół mu się dostaje.

I ta codzienna porażka jaką robotnik ponosił teraz przy zakupnie, biorąc za ten sam grosz coraz to mniejszy kawał chleba, gorszy ochłap mięsa, nauczyła go, że jego ekonomiczne położenie zależy nie tylko od wysokości płacy, ale też od jej wartości zakupczej, nie od stosunku do zatrudniającego go przedsiębiorcy, ale od stosunku do ogółu właścicieli towarów. Robotnik zaczął się na nowo zastanawiać nad swym losem — nad lekceważoną dawniej „taryfą cłową“, „ugodą z Węgrami“ i t. d.

Tymczasem życie gospodarcze szło swoim torem. Kartel żelaza i węgla podniósłszy ceny surowców, podniósł koszta wytwarzania w całym przemyśle. Pod naporem wysokich kosztów wytwarzania coraz to nowe grupy producentów zawiązywały się w kartele dla ochrony przeciw istniejącym już kartelom, dla lepszego wyzyskania ochrony cłowej.

Drożyzna stała się ogólną — ale dla warstw najmniej zamożnych, które wyrobów przemysłowych mało zakupują, ujawniła się obok drożyzny środków żywnościowych jako drożyzna mieszkań, wywołana podrożeniem materyałów budowlanych i spekulacyą gruntową.

Ale — lud jeszcze nie rozpaczał — nie zwątpił! Wszakże wybory z 1907 dały mu wspaniałe zwycięstwo, wszakże w Radzie państwa zasiada teraz nie kilku, ale kilkudziesięciu posłów ludowych. Zerwą oni łeb drożyźnianej hydrze — zdobędą taniość...

Walka z drożyzną stała się najważniejszem zadaniem partyi socyalistycznej, a ludność robotnicza, która w r. 1906 jeszcze nie widziała związku między swym bytem a polityką handlowo-taryfową, teraz przesadne nieraz przywiązywała nadzieje do akcyi parlamentarnej. Posłowie ludowi w długim szeregu wniosków, ponawianych z roku na rok, wykazywali niedobory gospodarki społecznej w Austryi, wykrywali istotny brak bydła i zboża, który czyni wolny dowóz koniecznością. Ale w tym strasznym wale drożyźnianym, ustanowionym przez traktaty handlowe i ugodę z Węgrami, nie udało się im zrobić żadnego wyłomu. Większość ceł do r. 1917 wcale naruszać się nie daje, tam zaś, gdzie klęska drożyźniana daje rządowi prawo do poczynienia ulg, tam większość parlamentarna obalała wszelkie wnioski przeciw - drożyźniane — udaremniała wszelkie reformy!

A jeżeli agraryusze zezwolili rządowi na poczynienie kroków, mających podnieść hodowlę bydła, na znaczniejsze zakupy bydła na wykarm, to zdaje się głównie dla tego, że akcya ta zmniejsza na razie spęd bydła na miejscowych targach, a więc podnosi cenę mięsa.

W ostatnich czasach — drożyzna poczyniła dalsze postępy. Pod ochroną rządu doszedł do skutku kartel naftowy i spirytusowy, które zaraz zaznaczyły swe istnienie podwyższeniem cen, pod ochroną rządu, który się ukorzył przed nakazem Węgier — agraryusze dyktują nam ceny mięsa — bajecznie wprost wysokie!

Otrzymanie od rządu na razie bodaj okruszyny prawnie dozwolonych, prawnie przewidzianych ulg — stało się w Austryi palącą kwestyą dnia — dla wszystkich, którzy nie żyją z drożyźnianych zysków. Cła żywnościowe i kartelowe, wywołujące drożyznę nie mogą być na razie zupełnie zniesione, ale rząd, parlament, gminy wiejskie mogą przez zniesienie niby-weterynarnych przepisów, tamujących przywóz mięsa, przez zniżenie taryf kolejowych, przez budowę tanich mieszkań ulżyć masowej nędzy-robotniczej, urzędniczej, drobnomieszczańskiej. Trzeba przeciwdziałać słabnięciu ducha i wybuchom rozpaczy, przekształcić rosnące niezadowolenie w rosnącą energię czynu, zjednoczyć w proteście wszystkie elementy miejskie, żyjące z zarobków i stałych płac.

Wobec rozszalałej drożyzny — lud rozpoczął niecierpliwie domagać się czynnej pomocy i partya soc.-dem. zarządała otwarcia parlamentu, by znów na porządek dzienny obrad postawić swe antydrożyźniane wnioski. By zaś pokazać, w jakiej sile przychodzi, jak wielką jest liczba tych, którzy się ulgi domagają, urządziła we Wiedniu — zarówno jak w innych miastach — wielkie ludowe zebrania, na które zawezwała cały lud pracujący. Tłumy usłyszeć miały z ust swoich posłów, że walka o ich prawa nie ustała ani na chwilę, że będzie prowadzona nadal z tą samą energią i wytrwałością, że walka polityczna wymaga nieugiętości, ale przy tem zimnej krwi i powagi. Bo jeżeli br. Gautsch na konferencyi przewodniczących klubów parlamentarnych zakończył swój wywód na temat starań rządu „o pomoc dla ludności nietylko na chwilę teraźniejszą ale i na przyszłą“ słowami:

„Byłoby rzeczą ubolewania godną, gdyby do obecnych przykrości, jakie znosi ludność wskutek drożyzny przyłączyły się jeszcze skutki, jakieby w poszczególnych wypadkach naruszenia porządku publicznego nastąpić musiały“.

To skutki owe są dla partyi robotniczej rzeczą bardziej jeszcze bolesną i niepożądaną. Kto dowodzi szeregami, zbrojnymi tylko w prawa obywatelskie, ten komendy „pal“ dawać nie może!

Ale słowa mowców, którzy mówili ludowi o jego sile i liczbie, o drobnych zdobyczach, które zaraz, i ogromnych, które celowo skiero-

wanym wysiłkiem w przyszłości zyskać może, o walce i pewnem zwycięstwie, w stutysięcznym przeszło tłumie — nie wszystkich doszły. Pozostało dużo takich, których słowa wiary i nadziei nie doszły i takich, którzy słysząc, nie wierzyli, bo się *jeszcze wierzyć nie nauczyli* lub *wśród przykrych doświadczeń lat ostatnich — wiarę utracili*. I podczas gdy zorganizowani robotnicy na znak dany trąbką rozeszli się spokojnie, widocznie te „niezorganizowane“ żywioły poczęły się dopuszczać ekscesów, tłuc szyby, wywracać wozy, rzucać kamieniami — narażając się na kule i bagnety z odwagą ludzi nie mających nic do stracenia!

Strzały — które padły w Wiedniu — ujawniają charakter ostrej walki, jaką przybrały sprawy drożyźniane. Ludności naszych miast wydaje się, że jest osaczoną przez gromadę nowoczesnych „Raubritter“, którzy co dnia, co godzina urywają z miski strawy, którzy jej nie użyczą powietrza ni światła. Do robotnika, który z bolem i gniewem patrzy, jak mu się przy zakupach grosz kurczy w ręku, dołącza się drobnomieszczanin i urzędnik, który mimo drożyźnianych dodatków coraz trudniej utrzymać się może na dawnej stopie życiowej. Życie wszystkich warstw miejskich staje się coraz trudniejsze, **a znają już one swego wroga**! Upadła ideologia, okrywająca niegdyś cła jako warunek rozkwitu „krajowego rolnictwa“ „rodzimej wytwórczości“ i ukazała się nienawistna twarz chciwca, w pośrodku paru tysięcy ułanów, dragonów i piechoty...

A jeżeli strzały, które padły w Wiedniu, a mogły były paść i gdzieindziej, staną się hasłem zlania rozbieżnych jeszcze usiłowań w jeden ruch przeciw lichwie agrarnej — młody robotnik nie oddał życia swego na darmo!

STOŁYPIN ZABITY!

Premier, który w potokach krwi utopił rewolucyę rosyjską, padł od kuli rewolucyonisty w chwili, gdy z tryumfem pokazywał światu dawno niewidzianą idyllę: monarchę przyjeżdżającego do uspokojonego ogniska pokonanej rewolucyi, Kijowa i odbierającego (za kordonami żandarmów i wojska) hołdy publiczne od wiernych poddanych t. j. szpiclów, przebranych po cywilnemu stójkowych i garści polskiej magnateryi z hr. Józefem Potockim i Władysławem Branickim na czele.

I wśród tego dobranego, starannie przesianego towarzystwa znalazł się człowiek, który wystrzałem brauningowym zaprotestował przeciw dalszemu deptaniu wszelkich praw ludzkich 160,000.000 ludzi, przeciw 120.000 straconych, wymordowanych, lub złamanych więzieniem i wygnaniem istot ludzkich, setkom czy tysiącom spodlonych prowokacyą. Pomścił te wszystkie krzywdy na głównym ich sprawcy: Piotrze Arkadjewiczu Stołypinie.

Zszedł ze świata człowiek, który zajmie w historyi miejsce obok nielicznych — równych sobie okrucieństwem: Murawjewa, Gallifeta i Haynaua, ale postać potężna, która znaczne swoje zdolności, spryt i siłę woli ześrodkowała w jednym kierunku: niszczyć, ujarzmiać i deprawować. W tym kierunku przeszedł Stołypin wszystkich swoich poprzedników: liczba ofiar Loris-Melikowa, Tołstoja, Sipjagina i Plewego razem wziętych, nie da się porównać z tem, co zdziałał Stołypin przez 5 lat swojego panowania. Stołypin był nietylko naczelnym katem, ale właściwym władcą Rosyi i główną podporą panującego systemu i nietylko ze stanowiska etycznego, ale politycznego zdawał sobie mściciel podziemnej Rosyi sprawę z tego, do kogo się zwraca, mając do wyboru między oficyalnym, a nieoficyalnym władcą. Wyliczać zasługi zmarłego byłoby rzeczą zbyteczną; zbyt żywo stoją w pamięci wszystkich czytelników „Życia“. Na jeden szczegół zwrócić należy uwagę: Stołypin padł ofiarą własnego swego systemu, a śmierć jego jest dowodem na jak kruchych opierał się on podstawach.

Salwy, stryczki, więzienia i tortury, jako środki uspokajania kraju, odziedziczył po swoich poprzednikach i rozszerzył je tylko do potwornych granic; własną koncepcyą jego był system prowokacyi na wielką skalę — aziefiada, wsączanie jadu zdrady w organizacye rewolucyjne i system tem zwrócił się przeciw swemu twórcy. — Stołypin wskazał na drogę od ochrany do rewolucyi, Bagrow poszedł przeciwną od rewolucyi do ochrany i uzyskał dostęp do każdej „wysoko położonej osobistości“. Podobnie jak życie premiera, było w jego rękach i życie carskie, a nie jest to przykład odosobniony: podobnie znaleziono dostęp do doskonale strzeżonego pomocnika szefa ochrany petersburskiej Karpowa i jednego z najszkodliwszych pułkowników żandarmskich w Królestwie, Wonsiackiego. Azefiada ma i odwrotną stronę medalu i na cóż wobec tego zdadzą się kordony wojskowe i cały aparat żandarmsko-szpiegowski? Poza nim są dziś władcy i półwładcy Rosyi bezbronniejsi niż ich poprzednicy.

Zabójstwo Stołypina ma olbrzymie znaczenie moralne. Wszelkie objawy wskazują, że okres apatyi i depresyi porewolucyjnej kończy się, a zamach kijowski przyczyni się niezawodnie do usunięcia panującej atmosfery nieufności i niewiary w swoje siły. Eserzy rozpoczęli terorystyczną działalność; z ich ręki padli w ostatnich dwu miesiącach naczelnik wołogodzkiego więzienia, znany z okrucieństw, godny kolega tegoż Wysocki z Zerentuja (ciężko ranny) i prokurator Stopiński w Sebastopolu. Zabójstwo Stołypina ma rozpocząć okres zamachów na wielką skalę, przygotowujących grunt pod drugą rewolucyę rosyjską.

FELIKS GWIŻDŻ.

POEZYE.

ZAPŁAKAŁO ME SERCE...

Zaśpiewajcie mi jeszcze,
Zaśpiewajcie, drużbowie,
Jedna śpiewka kochana
Wszystko wypowie...

Zaśpiewajcie mi jeszcze,
A szeroko, a szczerze,
Jednej śpiewce jedynej,
Jeszcze jej wierzę.

Muzykanci niech grają,
Niechaj grają siarczyście,
Niech wygrają, wydudnią,
Poco przyśliście...

Niech wygrają doznaku
Całe serce człowieka —
Piekło, które nas goni,
Raj, co ucieka.

I zatańczcie, zatańczcie,
Towarzysia wy moi,
W jednym tańcu lek jeszcze,
Co żar ukoi.

W jednym tańcu jedynym
Człek się straci, jak w lesie —
Jedna nuta Sabały
Radość mi niesie.

Pamiętacie? Minęli
Harni chłopcy, co byli —
Hej! I my się miniemy
Po małej chwili...

Hej! Muzyku, muzyku!
Zagraj, jakoś mi grawał,
Kiedym się na kamieńcu
Skałkami bawiał...

Och, muzyku, muzyku!
Towarzysia — drużbowie — —
Zapłakało me serce,
Któż łzy wypowie?

JAN KLECZYŃSKI.

JULEK.

(PORTRET WSPÓŁCZESNY).

13

W tej rozterce duchowej postanowił malować „na seryo".

Bez pośpiechu, powoli zaczął robotę, jakby kaligrafował w szkole. Możnaby rzec, że szedł w swojej pracy, nie oglądając się po za siebie, nie krytykując i — nie czując.

Gdy już było blizko końca, nie wytrzymał: obejrzał się za siebie — objął obraz czującem okiem artysty, jakim się nagle z tego omdlenia duszy obudził — i zdrętwiał.

Zrozumiał teraz (choć oni się na tem nie znali przecież) dlaczego Wandzia i matka i raz przelotnie ojciec — wszyscy — nawet dyskretny Jaś — wszyscy oglądali postępującą pracę bez

entuzyazmu, w poważnem, pełnem fałszywego szacunku milczeniu, z nieuchwytnem zdziwieniem w oczach, zawodem...

Zimne, fałszywe w każdej linii — paskudne... Z obrzydzeniem poszedł do kuchni po ogromny nóż, wyciął zajadle dokładnie płótno z blejtramu, tak żeby śladu nie zostało, złożył mokry obraz we czworo i wrzucił w piec pod gotujący się rosół.

Paliło się bardzo pięknie, wesoło.

— Rozgrzał się nareszcie mój obraz! mruknął Julek, śmiejąc się lekko — rodzina by rzekła nawet: lekkomyślnie.

Odetchnął z prawdziwą ulgą i wtedy dopiero odszedł od komina, kiedy błyszczący, czerwony popiół z obrazu rozsypał się w drobniutkie, złote iskierki.

— Te iskierki przynajmniej ładne! roześmiał się znowu Julek i uczuł, że wielki ciężar spadł mu z piersi...

— Dobrze mi tak! Czemużem zapomniał, że sztuka to nie rachunki urzędnika, ani też „przyjemna rozrywka po pracy".

— Do wszystkich dyabłów! — wrzasnął natychmiast, — czy ja się chcę zupełnie rozleźć, jak mokry gałgan w śmietniku? Co to za niedbalstwo, lenistwo duszy!

— O tak — lenistwo duszy! — dodał po chwili, zachwycony trafnością wyrażenia. O to, to właśnie! Jak można było tak przystępować do tego dzieła!

Uderzył się pięścią w głowę.

— Bydlę! Plugawe bydlę!

Zgrzytnął zębami z wściekłości.

Nałożył kapelusz i wyszedł, trzasnąwszy drzwiami z taką siłą, że się wcale nie zamknęły — więc wrócił i zamknął je spokojnie przed zdziwioną Cesią, rzucił jej przyjazne, zakłopotane spojrzenie i poszedł błąkać się po Warszawie.

Wiedział właściwie doskonale gdzie zamierza: do Wacka.

Spotkał go parę razy na ulicy i wciąż zapowiadał, że przyjdzie do niego — i wciąż zwlekał. Gotował się na to, jak na uroczystość, jak na oświadczyny kobiecie, z którą będzie trzeba żyć całe życie. Wahał się, zwlekał, niby wcale nie myślał o tem — ale tkwiło to w nim mocno, głęboko. Wszystko, co robił, to były wakacye, po których powaga życia go chwyci... więc zwlekał.

Teraz już nic go nie zatrzymało.

Czuł się wolnym...

Szedł pewnie, śmiało, wesoło a czujnie. Nieznacznie oglądał się za siebie i z przyjemnością stwierdził, że dawno już widać przestano śledzić „niebezpiecznego przestępcę", który łaził co najwyżej do knajp, teatrów, lub po farby i oglądał się za kobietami.

— Dobra! Lepiej, że ich niema — no — lepiej dla nich... Bo niechbym którego gdzie w kącie chwycił...

Uśmiechał się, jak tego był pewny, wysoce złowrogo. Istotnie czuł w sobie wyzywającą, wesołą złość. Chwilami śmiał się bez ceremonii w nos gapiowatym przechodniom. Aj, jakże by chciał jakiej awantury! Na kobiety patrzał, jak oficer od ułanów — bezczelnie, drwiąco, czasem przymrużał oczy zjadliwie lub puszczał im z pod czarnych brwi wściekły błysk swych promienistych szafirów. Kobiety, nie znając tajemnic duchowych Julka, przyjmowały to rozmaicie. Jedne czerwieniły się i wyrażały nerwowem pochyleniem ramion i oczu, że cios był śmiertelny — w samo serce. Inne przyjmowały postawę obrażonej godności niewieściej. Sztywniały całe, odsuwały zlekka głowę, jakby w obawie uderzenia, ale czasem z pod dumnie przymkniętych powiek szła ku Julkowi błyskawica zaciekawienia, ba, nawet jakby porozumiewawczej, przeciągłej odpowiedzi. Wtedy Julka oblatywał płomień, oglądał się za taką, ale naprożno. Czasem obejrzała się która, ale doprawdy za cynicznie, aż Julek pluł.

Najgorsze były jednak te, które odpowiadały zdziwieniem, lub zdziwioną wdzięcznością.

— Także głupie! — mruczał wtedy Julek.

Niektóre wprost uśmiechały się przyjaźnie i dowcipnie, oglądały się nawet wesoło za ładnym chłopcem. Nie burżujki — nie! — notował w myśli Julek. Robotnice, pracowniczki handlu, nauczycielki, może artystki. Ale nie burżujki — nie! Ba, choć nawet nauczycielki bywają różne — naprzykład Wandzia.

Zrobiło mu się bardzo przykro. Kochał Wandzię, ale, ach jakaż ona — jakby to rzec? — płaska — nie. Ordynarna? — To już prędzej...

Rzeczywiście — to dziwne! A przecież ona dobra dziewczyna — niby to... nie — — dobra naprawdę — — szkoda!

Żal mu się zrobiło, że jest taka.

Doszedł do Wacka z nonszalancką radością w duszy.

— Mańka, jak się masz! zawołał ucieszony Wacek, ściskając go z całej siły i całując.

Julek raz przedziwnie udawał w gimnazyum Mańkę, „szwajkę", która przychodziła do jednego z kolegów. To przezwisko mu już zostało.

— Nareszcie się przytryndałem! — rzekł z dumną wesołością Julek, przyglądając się nieledwie z miłością szerokiemu, dobremu uśmiechowi Wacka.

Był to chłopak ociężały, ale nie w postawie, która była raczej wysmukłą, lecz w ruchach, które miały w sobie coś chłopskiego. Czoło miał nizkie, nawet jakby wgłębione, nad niem jednak sklepiła się pod ciemnym szczeciniastym włosem, wystrzyżonym „na jeża", wcale ładnie zbudowana czaszka. Oczy były nieduże, piwne, o leniwem, jasnem, łagodnem spojrzeniu; nie głęboko osadzone pod krótkiemi powiekami, łudziły dobroduszną tępotą. Julek wiedział już jednak doskonale, że inteligencya jego, nie błyskotliwa, ale ścisła, szczera i zawzięta, była sto razy więcej warta od szumnej i łatwej pojętności wielu innych. Jego brwi czarne, równe wyrażały tę nieustającą, powolną i pogodną pracę myśli, która nie natężała się nigdy sztucznie. Pociągła, dość wązka twarz kończyła się nieco szerszą szczęką i szerokiemi wargami i o bokach twarzy, dość chudej ze złego odżywiania się i... jeszcze dla pewnych przyczyn — ale o zdrowej cerze.

— Gdzie się ty podziewasz! Myślałem, że juześ drapnął do Krakowa! — wołał Wacek, potrząsając go za ramiona z wielkiej uciechy.

— Nie — nie mam jeszcze floty — odpowiedział Julek. Na wieś wyjadę do kuzynów —

dodał nagle, uświadomiwszy sobie, że to będzie teraz koniecznością. — A cóż „pan" porabia?

Wacek znowu pokazał zęby w szerokim uśmiechu. Nazywał sam siebie „panem".

— Pan ma dwie lekcye po ośm rubli na miesiąc! A jakże! Pan jest bogaty! Pana chcieli wylać ze sztuby, ale pan się nie dał. Pokazał świadectwo, że dnia 1-go maja był chory na ciężkie hemoroidy i pana zostawili!

— To pan jest bardzo mądry! A co Kaziek?

— Siedzi.

— A „Pasternak"?

— Ha, ha, ha! Pasternaka wsadzili na Pawiak. Ale jak ich puszczali na „pragółkę", to on musiał choć raz zajrzeć na ulicę przez jaką dziurę. A jak zobaczył przez tę dziurę kobietę, to wrzeszczał, wymachiwał rękami, mrugał na nią, wiersze do niej mówił i takiego ci hałasu zawsze narobił, że go już wcale na dwór nie puszczają.

— Biedny Pasternak!

Obydwaj śmieli się z całego serca.

— A gdzie „Statystyka"?

(„Statystyką" nazywano współlokatora Wacka, poczciwego Litwina, który wsławił się wspaniałym argumentem w dyspucie nad teoryą Marksa. Gdy ktoś przytaczał jakieś dane statystyczne o liczbie nieszczęśliwych wypadków w fabrykach, on przypomniał sobie naraz zdanie, gdzieś wyczytane, i po długim namyśle, gdy już wszyscy umilkli, rzekł przeciągle:

— Wszystko to jest bardzo ładne, ale dane statystyki nie zawsze są pewne.)

— Obżera się u wuja, odpowiedział Wacek. Pewno zaraz przyjdzie. Kiedyś w nocy budzi mnie. „Idź do dyabła", mówię, „czego chcesz?" „Kiedy ja ci się mam coś spytać." — Ja nie byłem dobrze rozbudzony więc myślałem, że rewizya, a tu mam za szafą sto numerów „Robotnika". Więc jak nie skoczę, zabieram tę paczkę i do pieca. Ale w piecu się nie paliło od Bożego Narodzenia. „Dawaj zapałki" — wołam na niego. A on palił papierosa i powiada: „Szkoda zapałki, masz i tak ognia". Ja do niego, trzęsę nim: „Dawaj zapałki, widzisz przecie po co"! — On przestraszył się: „Czego ty chcesz odmnie! Czyś zwaryował?" — „Toś ty sam waryat, widzisz przecie, że niemą czasu!" — „Na co niema czasu? Co ty wygadujesz?" — Powiadam ci, myślał, że ja naprawdę zwaryowałem, a ja byłem tylko zaspany. Omałośmy się nie pobili, no i nareszcie, kiedyśmy już znowu zasypiali, on mi powiada: — Ja ci się chciałem tylko zapytać, czy naprawdę statystyka nie zawsze jest pewna!

Julek aż się pokładał na krześle ze śmiechu.

— Ale wiesz, Jacka jeszcze nie wypuścili — rzekł poważnie Wacek.

— I jeszcze mu nie powiedzieli, za co go trzymają?

— Jakże! Wiesz za co? Ma napisane w papierach tak: „siedzi na śledztwie dla zbadania przyczyn aresztowania go".

— Nie — to żarty!

— Jak Boga kocham!

— To niesłychane!

— A czy wiesz, że jest tu jeden, co siedzi w cytadeli już pięć lat i nikt nie wie za co? Dopiero niedawno sobie o nim przypomnieli i mają go podobno wypuścić. Omyłka.

Julek umilkł. Wacek opowiadał mu dalsze nowiny, które były wszystkie w podobnym rodzaju: śledztwa, więzienia, awantury z policyą i żandarmami, bohaterskie czyny, milczenie pomimo pomyślnego denerwowania więźniów, wzmagania ich pragnienia słonemi potrawami, patrzenia ustawicznego przez okienko we drzwiach celi więziennej, co doprowadzało nieraz do ataków furyi, za co więzień szedł do ciemnicy itd. itd.

Z uczestników manifestacyi majowej wywieziono już kilku do Jakutów lub do głębi Rosyi. Inni siedzieli w Warszawie, czekając z tęsknotą jakiegokolwiek wyroku.

— A jakżeś ty się wykręcił z tej awantury? — zapytał Julek.

Wackowi znów rozsunęły się dobrodusznie szerokie wargi.

— Ja wlazłem ze Stefanem pod dorożkę. Kiedy wszystko się rozsypało, wyszliśmy najspokojniej i poszliśmy do domu.

Julkowi się to niebardzo podobało. Wiedział, że jego, Julka, mniemane bohaterstwo odważnego przyznania się było śmiesznem wobec poświęcenia i zaparcia się siebie, z jakiem Wacek działał wśród robotników fabrycznych, narażając się co chwila na niebezpieczeństwo stokroć groźniejsze, niż trzymiesięczne więzienie. A jednak usiłował w dalszym ciągu uważać swój czyn za coś wyższego. Wiedział nawet, że Wacek, w razie gdyby go aresztowano, gdyby go nawet wypuszczono potem, znalazłby się u progu śmierci głodowej, nie tak, jak Julek. Pomimo to jednak starał się nie rozumieć ostrożności Wacka.

Zarazem smutniał coraz bardziej. Chciał poprostu prosić go o jakąś robotę partyjną, ale czuł, że nie pcha go do tego ta żelazna, nieprzeparta siła, tkwiąca w „nich". Chciałby to robić — ale jako coś w rodzaju obowiązku — prawie odużającego w swem pięknie, ale to nie byłoby dlań jego całem życiem — potrzebą istnienia...

Dlaczego? myślał z bólem. Dlaczego to dla mnie coś dodatkowego? Przecież nie jestem nieszczery z sobą samym. Z rozkoszą bym spełniał różne misye... Ale tak ciągle w tem tylko żyć... Nie — nie — albo całkowicie się poświęcić albo wcale. Ot masz! „poświęcić się". Oni tego z pewnością nigdy ani przez sekundę w myślach swoich tak nie nazwali... „Poświęciliby się", nie pracując ideowo — uważaliby życie swoje za zmarnowane, zbezczeszczone, upadłe... tak — upadłe.., zgniłe...

Czy moje życie jest takie?

Może...

Przypomniała mu się rodzina. — Uczuł dla nich i dla siebie wzgardę — jakąś nudną, bezsilną wzgardę... Cesia... Ona by pracowała dla partyi. Ona by umiała milczeć, choćby ją ćwiartowano... Z nim, z Julkiem by pracowali... Zdaleka od tego burżujskiego, zakłamanego życia, od tych rozpływań się nad każdem zadraśnięciem serca i przekosztownych nerwów, od tych biadań nad tem, że ktoś zjadł coś niezdrowego, że siostra „przeraziła się śmiertelnie" karalucha lub myszy, że kupiła bluzkę, która źle leży, że Jaś zanadto się „stawiał" profesorom gimnazyalnym, że aktorka X. się starzeje, a któryś z wiel-

kich autorów polskich już „się wypisał“, „wyszedł z mody“, „powtarza się“, albo się nie powtarza, że zbrodnią jest żenić się z „prostą“ dziewczyną, że dekadenci są waryatami, a socyaliści — ba! socyaliści — to wrogowie polskości, międzynarodówka. — Znosi się myśl o nich o tyle, że Julek coś tam podobno ma z nimi do czynienia. Julek smarkacz, młody, „szlachetny“ marzyciel... ale on się z tego wyleczy — to przejdzie — tak...

Wyrwało go z tego zamyślenia trzaśnięcie drzwiami. Wszedł Wacek, który wysunął się z pokoju niewiadomo kiedy. Za drzwiami słychać było lekkie kroki kobiece, zstępujące szybko ze schodów.

— Jagusia! pomyślał Julek i uśmiechnął się z pewną ulgą. Była to przyczyna mizernego wyglądu Wacka, który był w darach miłości hojny po królewsku. Jagusia niemniej hojna, obdarzała swojemi względami (podobno) Litwina „Statystykę“ i jeszcze kilku studentów z czwartaka (choć to ostatnie było zapewne plotką).

„Jagusia od prania“... pracował myślą Julek — i nagle oblał go war wstydu. Jakże on mógł choć na chwilkę robić tu jakieś analogie z Cesią! Czy Cesia latałaby na czwartak do studentów? Poprostu wstręt to pomyśleć. I wogóle przecież Julek co innego chyba czuł do Cesi — Co innego? No niezupełnie, ale... nie... to, co robił Wacek, nie było wyzyskiwaniem żądzy biednej dziewczyny... Jednakże... Tak, napewno, że winy Wacka tu żadnej niema wobec takiej... on to traktował tak dobrodusznie, poprostu... ale...

Cóż u dyabła za „ale“.

Nie, tu niema cienia analogii. Nawet Julek ani przez chwilę na seryo nie myślał o tej analogii. Nie, nie! To była chwila słabości, chęci usprawiedliwienia się...

No, ale tutaj to z Jagusią nie było zupełnie w porządku. Coś nizkiego...

Julek przetarł czoło.

On bredzi chyba!

(C d. n.)



JULIUSZ KADEN.

KORDYAN SŁOWACKIEGO.

II.

Zbiegają się siły w ustroniu odszczepionej mądrości polskiej. Na przełomie wieków grupują się naokół wspomnienia: wedle Twardowskiego, szlachcica, którego mądrość szlachecka tak rozdęła, że go dyabli roznieśli.

Tu się odbywają rady szatanów nad dziejami rodzącego się wieku. Tu zjawia się zegar wieków.

Dziecięcia krew pomazuje sprężyny zegara.

Rzecz dzieje się w Nadprzyrodzeniu. Nie wszystko więc mieści się bez reszty w duszach ludzkich. Nad niemi, choć i w nich krążące, wiążą się moce, substancye. Substancye co dzielą sprawę światów na pół.

Tak być musi. „Ja“ początków polskiego wieku XIX nie chce, nie może, nie śmie przyjąć odpowiedzialności. Nie śmie snuć samej w sobie idei — boby się wówczas dobrowolnie wymazać musiało ze światów Ducha. „Ja“ — to dusze, ale idee to też dusze, jeno wyższe od pierwszych. Odpowiedzialność dusz „ja“ spada na dusze — idee i w ten sposób „ja“ otrzymują usprawiedliwienie, wieczny rodowód w przeszłości i pewną, pewną gwarancyę istnienia na przyszłość. Religijność i mit ocala, ratunkiem się staje syllogizmu o absolucie duszy ludzkiej i mimo to — o ludzkiej duszy podłości. Stopień najniższej rozpaczy bądź-co-bądź zostaje przestąpiony, dusza „ja“ istnieje i istnieć będzie — więc może i musi działać. Ten mus, choćby najstraszniejszy w porównaniu z nicością jest szczęśliwą nadzieją.

A zegar? Zegar to założenie Kordyana, założenie dawnej Polski. I założenie — Nadmiaru. Sprężyna z ojczyzny Tella, Kalwina, na ludzkiem wsadzona oku. To sprawa wolnej myśli, lub raczej swobody od czasów Lucyfera. Bo nie sprawa wolności. Zapoczątkowana w łonie samego Boga. Sprawa osobistej swobody przeciw wolności — gwarancyi całego bytu.

Nietsche powiedziałby sprawa Nadmiaru. Lub raczej Dostojewski. Gdy z poczucia mocy niszczyć i uszczuplać się poczyna, gdy się wolność w swobodę przemienia.

„Ludzkie oko“ przeoczyło wartości i oto zegar wskazywać będzie wciąż błędy tych sprężyn-pobudek z kraju Tella. „Ludzkie oko“ mylić się musi.

Biada mu, jeśli marzeń ziemią nie określi
Kołem widzenia, biada, jeśli je przekroczy.

Duchy (duchy swobody), kręcące się na rubieży wieków, biorą sobie za igraszkę naród polski. Ten właśnie ma rozpoczynać walkę. Więc współdziałanie człowieka z substancyą Lucyfera. Pojęcie wikła się, o ile nie przyjmiemy podziału swobody — wolności. Błyskawica, którą cisnął Bóg — wolność trwa dłużej, „niż te wszystkie

lata, zbiegłe męczarnią dla świata". Oni, Polacy podejmują Lucyferową walkę o tyle, o ile walkę tę powoduje ten sam wspólny grzech Lucyfera i Polaka — swoboda. Ale w istocie różnica zachodzi olbrzymia. Szatani w imię swobody walczyli przeciw wolności, Polacy w imię swobody wystąpią do walki o wolność.

Z kotła wysuwają się główne postacie 31 roku.

* * *

Kordyan — młodzieniec. Jesień polska. Nie — tylko czułość nerwów. I sentymenty. Bezbrzeżne sentymenty. I wraz z porą roku, obumierające przemijanie.

Gdzież myśl? Niema jej jeszcze. Są tylko wyobrażenia.

Świat kona. Omdlewa. Umiera. Myśl się z przyrodą splata, człowiek się w smutek grąży.

Dawny czas. Ostatnia przeszłość. Stary sługa gada młodemu Polakowi niedawne dzieje.

Trzy wytyczne. O Janku sprytnym. Dużo powodzenia mógł był spotkać obrotnym sprytem nagminny Janek polski owych czasów. Czyli o twardym, życiowym sensie i praktycznym rozumie, o tej rózdze cnót i cnoteczek niemiłosiernych.

O czynie dla czynu. Czyli o wyprawie legionistów polskich z Napoleonem do Egiptu.

Trzecią o tym, c o n i e u m a r ł i n i e ż y j e lecz j e s t i t r w a, o tym bez nazwiska i herbu Kazimierzu, co nowe podwaliny odporu i protestu polskiego krwią znaczy na baszkirskich lodach.

Kordyan — młodzieniec. Badać i zgłębiać się nie bierze. Tysiąc otacza go tajemnic. A w tysiącu jedna a w tej jednej nowych sto tysięcy. Kordyan kocha zaś miłość tę, którą jesień czarami pory zaprzeczając, jeszcze bardziej rozwija — mąci i łamie Kordyanowi jego własny cień.

„Pani! gdy kiedyś! kiedyś! twarz księżyca [biała
Błyśnie wśród chmur, lecących na jesiennem [niebie
Będziesz mój cień natrętny odpędzać od [siebie"
I dalej: — „ale jest świat drugi!
Tam z uczuć razem zlanych wstanie anioł [biały
Mniejszy może niż człowiek, atom, środek [koła
Rozpryśnionych promieni! Ale jasny cały
I plam ludzkich nie będzie na sercu anioła".

Kordyan nie chce być sam z sobą. Nie może. Nawet kiedy jest z Laurą, marzy o drugim świecie, który nie da zaglądać w „ciemną wspomnień trumnę".

Jakichże to wspomnień? Tego Kordyan jeszcze może nie wie. Może nie mówi... Tego mu nie powiedzieli ci, za przykładem których rozmyśla. Ani Anioł, w którego może się zbiega światła nauka Hegla. Ani samobójcza broń Wertherów i Ratcliffów. Nie o Laurę spełni Kordyan samobójstwo. Werther mu może podda myśl, lecz istotę myśli stwarza w Kordyanie coś całkiem innego. Laura? — Nie jest mu przecież wrogą, nie dzieli ich żaden konwenans. Zresztą Kordyan co chwilę zapomina o Laurze, a śnią mu się prócz wspomnień nieznane przeczucia, kwiaty i kwiatów znaczenia. Zaś wśród nich „blada róża która —

— dawno, dawno
Nie pomnę, z jakiej przyczyny zwiędła na [wieki..."

Z jakiej przyczyny zwiędła ta róża? Czy nigdy nie odżyje?

Kordyan przestąpił próg romantyczności, nie odgadł róży swej i zwyciężony „niczem", co się ze wspomnień wysnuło — popełnił zamach samobójczy.

Ocalał. Ma iść w życie z blizną Kaina na czole. Więc Kainem jest, kto sam siebie zabija? Kainowy czyn, to zamach Złego przeciw Dobru? Przeto Kainem jest, kto siebie zabija względem tych w sobie pierwiastków, które śmierć człowieka przeżywszy, następstwa czynu ponoszą. Któraż to wartość i w czem się gruntuje?

Zostawmy sprawę tę na razie bez odpowiedzi.

Z blizną Kaina, więc nie jak romantycy po tę bliznę, idzie Kordyan na wędrówkę życia. I wciąż tu szuka siebie. Daleko od wrącego gminu, który pije dym węgli. Daleko od m i a s t a - z e g a r u, co się ludzkim kręci ruchem. A zegar ten, to drugi zegar, jaki widzimy w Kordyanie. Tamten pierwszy, w prologu, zegar spaczonej wolności. Ten zaś — pochodny, zegar spaczonego życia.

Kordyan ucieka daleko w ogrody, marzy i tu w godzinie zadumy spotyka się z dłużnikiem-bankrutem. Jedna im obu sprzyja chwila i jedno mniema o nich mieszczaństwa upostaciowanie — dozorca. Mniema, że Kordyan jest przestępcą, że się wyłamał z pod litery prawa. A Kordyan wciąż jeszcze nie rozumie. I jednostronną prawdę ciska w oczy dozorcy, mówiąc: Nędzny.

Bo druga strona prawdy, to litera prawa dozorcy. Bankrut wobec dozorcy taksamo jest występny jak Kordyan. Pierwszy, że przekroczył literę prawa, drugi, że jej doraźnie nie przekroczył, a marzeniem t y l k o poza nią wybiega i przyjęty porządek miejskiego trybu mąci.

Więc opuszcza Kordyan sferę chwili społecznej i sięga wyżej do fikcyi świata. Do twórczości romantycznej, nie zaś jeszcze ku źródłom absolutu.

Natura i siła, w którą ta natura przeobrazi się w duszy człowieczej. Twórczość bożego tworu. — Żywioł.

Więc inwokacya do Szekspira, który z nieskończonością zbliżył twór ziemi. Lecz ten akt twórczej wiary mimo wszystkie wysiłki twórczej jaźni zrodzić się w Kordyanie nie może.

Próżno myśl geniuszu świat cały pozłaca,
Na każdym szczeblu życia rzeczywistość [czeka
Prawdziwie, jam podobny do tego czło- [wieka
Co zbiera chwast po skałach życia — cięż- [ka praca!"

Na innem tle, w innym ducha stanie jest jednak Kordyan wciąż, jak ów Kazimierz baszkirskich lodów, c o n i e u m a r ł i n i e ż y j e, Kordyan też nie umarł i nie żyje.

Nie może być sam z sobą. Wybiega poza siebie, zdwaja się, by to drugie, reflektywne ja patrzyło z bezradnym podziwem na pierwsze — nieczynne.

Nie może kochać Laury. Jego miłość jakaś inna myśl wciąż uprzedza o tem, że pewna róża zwiędła na wieki.

Nie znajduje usprawiedliwienia nawet w zamachu samobójczym.

Dozorcy mącą mu chwile marzenia — Kordyan nie może śnić.

Kordyan nie może tworzyć, bo na każdym stopniu „rzeczywistość czeka“.

Kordyan jak Kazimierz, jeno, że bezpłodnie u wrót życia nie umarł i nie żyje.

Boi się rzeczywistości i pracy, nie bojaźnią ciała (potrafił był spełnić samobójstwo), lecz bojaźnią ducha. Ani we własnym rozwoju, ani w miłości, ani w społeczeństwie — dozorcy nie widzi poręki dla pracy. Nie widzi związku, nie ma celu. Więc boi się bojaźnią ducha — i upada.

Cofa się do dwuch elementarnych ostoi wszystkich rozbitków idei, którzy jeszcze, lub już nie wiedzą. Do rozpusty i do wiary w najoczywistszych typowych formach.

Na drodze rozwoju swego i upadku wyczerpuje wszystkie możliwe typy ówczesnych ludzi. Jest romantycznym Hamletem, kochankiem, Wertherem, a w żaden z tych typów nie może się zmieścić bez reszty. Przy boku Violetty staje się złotym młodzieńcem. W spotkaniu z papieżem (wiara ulegająca wpływom ambasadora rosyjskiego czuje się w obowiązku pocieszać) spotyka się Kordyan z policzkiem pociechy. Tu znów od czasu rozmów z Grzegorzem, słyszy słowa o Polsce. Tu szafarz wszechludzkiej miłości, niby cmentarną grudą sypie słowami na jej trumnę.

Wyczerpane więc jest doświadczenie życia i epoki. Kordyan jest sam. Stracił już ludzi z przed oczu. Nie wierzy im. Rozstał się z wszelką ponętą ziemskiej przyrody. Obrócił się kołem na kole istnienia, zamyka się w jedynej ucieczce ducha niezhańbionej, zamyka się w ja. Przyczyny, związki, skutki, cele — to wszystko nie ma znaczenia, jeśli tego własne ja nie tworzy tego nauczyło bolesne doświadczenie. To właśne doświadczenie popchnęło Kordyana aż na Mont-Blanc.

„Jam jest posąg człowieka na posągu świata“.

Więc dzieje się to jeszcze wciąż w wyobrażającej myśli. Nie jest to dotychczasowe ja Kordyana. Tego Kordyana nikt nie zna, on sam nie znał się dotąd takim.

Jaźń twórcza — tylko tem może być to ja — niczem innem być nie może. Bo wszystko inne warunkowałoby jej istnienie. Tymczasem, doświadczenie pouczyło, że we wszystkiem innem warunkującem tej twórczej jaźni nie było. Istnienie to czuje się poza oplotem wszystkiego co warunkowe, poza przyrodą, człowiekiem i światem.

Twórczość bezwarunkowa — nie warunkowana niczem.

Ja posąg człowieka, bezwarunkowe, z istoty rzeczy nieskończenie samo-sobie sprzyjające powinno udoskonalać się na stopniach własnego uświadomienia. Tedy — żywe, istotne, twórcze, urzeczywistniając się w materyalnem życiu, musi udoskonalać wszystko, co jest nie-ja. Więc wyzwoliny świata nieodzowne, konieczne, wynikające z założeń ja jako faktu. Ja — znaczy pomyśleć. Chcieć, móc — więc wybrać. Wybrać — więc ukochać. Ja — jest również miłością. Jako miłość — jest wolne i wszechmocne. I oto płonie w posągu lampy blask.

Owo ja ma prawo do wszystkich gwiazd i mocą wszystkich władać jest zdolne. Tak jak wszechświat jest jego współistotą, z racyi powszechności wszechświata i ja, — tak wdzięk narodów to poszczególne gwiazdy ogólnej wszechkonstelacyi ludu. A z ludu — Boga cud. Ja, gwiazdy, wszechświat — narody, lud, by znów stało się powszechne Ja (Boga cud). A na zakręcie tego pierścienia stanie duch najskorszego oswobodziciela, najczynniejszego ofiarnika, co własnego ja zniszczeniem dokonanie pierścienia przyśpiesza — duch Polski Winkelrieda. Winkelrieda, co włócznie zdrady w sercu swem topi. Stąd twórcze, wolne Ja (mimo, że wie, iż Polska-Winkelried poświęci się i zginie) musi się w imię wolności świata całego rzucić na rodzinną ziemię, wołając — Polacy!

Jedyny mus, mus prawdy, mus w imię wolności.

Tu dopiero otwierają się hebanowe wierzeje Tragedyi. Tu rozpoczyna się walka ducha z materyą, Boga z Szatanem, Człowieka-Prometeusza z mocą wsteczną.

Nietylko wiadomem jest teraz, dlaczego samobójstwo Kordyana było grzechem kainowym. Ale teraz widocznem już jest, że walka pójdzie na śmierć i życie. Tu otwiera się otchłanny los wszechludzkiej próby i zarazem, dzieje jedynych na świecie mimów polskich. Dzieje te oprą się o jedyne w swoim rodzaju kulisy.

W greckim teatrze prawie nie było kulis. Rzecz szła między ziemią a niebem. Kulisami właściwych widowisk Rzymu były klatki pełne dzikich bestyi. Za kulisą mysteryów średniowiecza była gotycka katedra i mroczne ducha skrytobójczynie — zakrystye. Poufnem wnętrzem Szekspirowskiego dziwowiska była angielska tawerna i ławki panów wszędzie obecnych i ich wszędzie obecna zbrodnia. Podobnie we Francyi, za kulisą sprawy scenicznej był abstrakcyjny przedstawiciel całego narodu kogut-król i egzotyczny kurnik wykwintnych (precieuses) dam i tego kurnika intrygi.

Lecz za kulisą polskich mimów stał się pokonany duch narodu, groby i trumny.

Zburzyć kulisy siłą czynu, skończyć mimy, z idei, z wyobrażenia prawdę zrobić, inaczej mówiąc, zaprzeczyć własnej poetyckiej mocy w życie ją wcisnąć, — to będzie od chwili przemienienia na Mont Blanc najgorętszym zachodem Kordyana.

Cóż zastał w kraju?

„Plac przed zamkiem królewskim w Warszawie, okna dookolnych domów przystrojone kobiercami, pełne widzów. Wielkie rusztowanie czerwonem suknem nakryte zalega większą część placu — na niem siedzą rzędami przystrojone kobiety. Najbliżej widza kolumna Zygmunta na podstawie lud zasiadł...“

I dalej:

„Wnętrze kościoła katedralnego, ołtarz rzę-

siście oświetlony. Prymas z bogato przybraną asystencyą odprawia mszę. Muzyka. Cesarz stoi pod szkarłatnym baldachimem — —“

Po krasnem suknie orszak ma przejść koronacyjny. I przeszedł, a oni wszyscy patrzali na garb jakiegoś kaleki, co się przypadkiem nawinął i nie widzieli cara. I nie słyszeli, jak wśród milczenia „dozorców“ — jenerałów, dygnitarzy, przez jedno słowo, w katedrze, ojczymem się ich stał.

„Przysięgam“ cara i „Winkelried“ Kordyana to dwa pioruny, które się zczepią i całe niebo ogniem zryją.

Car wraca. Po drodze ks. Konstanty uderzył starą kobietę z dziecięciem. Potknęła się i dziecko do rynsztoka padło.

Teraz jeszcze lepiej widać, co to za zegar obracali szatani w Prologu. Już namaszczone są gwichty dziecka krwią. Sukno koronacyjnej estrady — to płynąca szeroko krew tego dziecka. Lud je rozrywa, okrywa się niem, ją, krew na siebie bierze, niby skrzepy ściętej krwi rozbiega się zwolna po mieście.

„Ściemnia się coraz bardziej. — Ludzie rozerwali sukno i w czerwone płachty okryci rozchodzą się po ulicach. — Przy beczkach z winem widać jeszcze garstkę pijących. — Człowiek, czarnym płaszczem okryty miesza się między nich i śpiewa“.

Śpiewa jedną z najtragiczniejszych pieśni, jakie stworzył geniusz ludzki. Pieśń o winie. „Jutrznia wiary“ (ja Kordyanowe?) zamieni to wino w krew. Na bruku, z dziecka krwi lęgnie się czarny nieznajomy, lęgnie się głuchy skrytobójczy spisek. Idea jego to idea Chrystusowego przemienienia się krwi. Nie w czynie ofiary, lecz w czynie walki. Śpiew Nieznajomego huczy już w ludzie i pod nim.

Lęgnie się wśród grzechów przeszłości u podwaliny narodowych wierzeń świętych, w krypcie ubiegłych wieków. Za prezesem i księdzem stara tradycya polska. Honor, cześć, otwartość. Za nimi ogólno-ludzka ugoda (nie umowa). Za nimi strach o miejsce w międzynarodowej rodzinie narodów.

Przeciw nim doświadczenie rewolucyi francuskiej. Przeciw nim wszechmocne w etyce swej ja ofiarnika-Winkelrieda. To ja, które się w bezimienne on przemienić zdoła. Zaś gdy się ja w on przemieniło, gdy więc jaźń w powszechną sprawę się zmieniła, żąda, (i to jest dalszym ścisłym ciągiem widzenia na Mont-Blanc) żąda rządu dusz.

(Dok. nast.)

MIECZ. RETTINGER.

LWOWSKA BOHÊME

(Z NIESPRAWDZONYCH MOŻLIWOŚCI).

I.

Wije się wkoło nas nieuchwytna, najlżejsza z pajęczych sieć powikłań. I nie wiem, czy oś ich w należytem miejscu będzie uchwycona, jeśli napiszę, że we Lwowie są dwa ich rodzaje: jeden, o rodzaju tkliwości i szerokości zagadnień podobny do »Le petit Fros« Lichtenbergera, a drugi gatunkiem kwestyi i zamaszystością gestu przypominający »Radców pana radcy« Bałuckiego. Z pyłu bruków lwowskich wznosi się pod samo niebo rozstrzelone na części kabotyńskich zamyśleń lub wybuchów: dzieciństwo. Dzieciństwo grzechu, radości, pokuty, przedsięwzięć i planów. A dalej w społecznych rezerwoarach finansowej siły i politycznych zatargów uśmiecha się beztroskliwa, a niewiadomo dlaczego w swe siły ufająca twarz Radców od radzenia. Teatr, literatura są lwowskiem dzieciństwem, gdyż tylko dzieci rzeczy spotykanych albo nie spostrzegają, albo biorą je w niedosłownem, niepowściągliwem, więc nieprawdziwem znaczeniu. Nie spostrzegają — Lwów nie widzi i nie zna roli, którą w sztuce i dla sztuki odgrywa miasto. W przykładach najjaskrawszych np. w tem, że niema malarzy Lwowa, przedrzeźnia się ciągle widziane we dnie i w nocy, na ulicy i w mieszkaniu, dorosłe, niepokonane dziecko. Fantazye śmieszne, choć czasem urocze, fantazye z bezmiaru może temperamentu, a może i uporu pochodzące, idą o lepsze z nieograniczoną lekkomyślnością (lekkomyślność rezygnacyi siostra przyrodnia). Jak bosko uprzejmą może być kobieta, karotująca na jakiś obojętny cel! Tak samo Lwów, wielkie miasto, a jednak partykularz lichwiarskim jest w wyzysku. Ludzie się cieszą nań, jak na podarunek bogów. A jednak w tej mitologicznej skrzynce pospały się wszystkie dobra i złości ludzkie i ani rusz wzlecieć. Lwowska bohême czuwa nad charakterem miasta, jak ongiś kaprale duńscy Rosenkranz i Gildesbern czuwali nad swoim królewiczem. Wiedzieli, że są i że on powinien być. Gdzie jednak jest, przy nich, obok nich, nad nimi — — tego wiedzieć nie mogli.

Lwowska bohême pracuje. Finanse »Koła literacko-artystycznego« »Ula« mają prezentować się wcale nieźle. Ówdzie zaś pojawia się systematycznie z płytkości na dowcip tłómaczony wierszyk Tersytesa lub »Koło literacko-artystyczne« sprowadza bułgarski fenomen: jednorękiego pianistę, a po tymże ze wszechmiar sensacyjnym, a artystycznym wieczorze raut z tańcami na dochód kolonii wakacyjnych, na który aranżują słowiańskie tańce wszyscy literaci i artyści, umiejący walca warszawskiego (na 3 pas), a przytem posiadający frak wypożyczony (Sykstuska 10). Przeto Lwów jest chory na dzieciństwo w założeniu nieszkodliwe, w praktyce trochę.... inne, w każdym razie prostoli-

nijne, nie bolesne. Gdy zaś zajdzie na bohême zmora, że powinno się gasić uczucia wszelkie, szkodzące firmie artykułów krajowych: vivat naród, vivat wszelkie stany, apeluje się do Lwowa poważnego »Radców pana radcy« i stamtąd wychodzi inicyatywa obchodu narodowego i w ratuszu (bezpłatnie na cel ów udzielonym) zbiera się ta sama lwowska bohême, by słuchać, jak to owi bez mała (ich szczęście) całe życie »górnie przeżyli«.

Powłóczy się po corsie pół Lwowa. A zasię wśród niego cała bohême. Więc idą przymusowe półpanny po przeczytaniu jeszcze jednego tomu »Czytelni naukowej« (okładka szara z bronzowym grzbietem). Idą »prywatyści« wszystkich szkół i zawodów, łacni do rozpoznania dzięki niepewnym ruchom, natrętnym spojrzeniom, a podgiętym spodniom. Tu i tam przemknie się najczęściej modnie ubrana postać kogoś ze znanych. Idą sfery wybitne z »Koła literacko-artystycznego«, »Ula«, »Sztuki« i Lasockiego. Panie szepleniące, panowie rzechocący. Race dowcipów gasną pod długimi uśmiechami dokładnie barwionych ust. Pomysły z dziedziny flirtu przetrawiają się w ciągłej pożodze tego samego. »Witze« z »Pschütt-« i »Kikeriki« nie robią nigdy żadnego out'a. Przyjmowane są z dobrotliwą uprzejmością stałego słuchacza. Wśród tego padają słowa o sztuce. Jesteśmy wśród lwowskiej bohême. Na corsie są wystawy książek. Tam przystają. Obsadzone są szyby belletrystyki i obrazów. Szyby prześwietlające półki z książkami innemi kuszą tylko niektórych. Rzecz zrozumiała. Przechodzi bohême.

Anonimowe działanie i pseudonimowy pochód kultury artystycznej w dzieciństwie Lwowa można poznać! Lwowianin nie zna »Galeryi miejskiej«, muzeum Lubomirskich, wystawy dorocznej »T-wa przyjaciół sztuk pięknych«. Najpopularniejsze jeszcze są malowidła w »Sztuce« Turlińskiego. Tam baczyć można różnych z pierworodnym zapałem targujących różne obrazki. A najlepiej podejść pod teatr i dowiadywać się, skromnie z ubocza popatrzywszy, opinii lóż pierwszego piętra, gdyż wtedy nastrojowa syntetyczność stawia się frontem do linii bojowej sztuki (premiery!) i wygłasza definicye, będące ekstraktem Lwowa i dwóch części bohême. Chodzi się i mówi i szerzy propagandę. Pojęcie rzeczy fałszywe. Apostołując, musi się włazić na to samo illuzyjne stanowisko, na którem stoi ważna, sądząca sztukę część społeczeństwa: bohême i traci się grunt pod nogami. Niepotrzebnie. Lwowskim wyrazem jest: »szarpi się«. Bóg dał mu słuch do słuchania śmiechu, a on nie słyszy. Przeto spotyka go awiatyczna »mention honorable«, spada na głowę, a w formie emerytury może dostać się do programu »Ula«. Tam Lwów śni swe marzenia o rozeznawaniu świata ducha (wyraz jest piękny i godzien uwagi). A w dodatku dzieciństwo każde ma swoje bożyszcza. Ile ich jest! Okadzone ogólnym poszeptem uznania, udekorowane medalem powszechnego wścibstwa i całowane grymasem zadowolenia autochtonów (on nasz — lwowskie dziecię — coś z nastroju, który wywołał marsza na cześć »lwowskich dzieci« z 30 p. p.).

Lwowska bohême ma swoje tabu i charakterystyczne dla nich ołtarze. Charakterystyczne tem, że niektóre z nich budowane są własnemi rękoma bóstewek. O! widowisko! Z ołtarza schodzi łaskawość i nanosiwszy cegieł i wapna, wznosi ołtarz ku zbudowaniu bliźnich.

Bohême szuka stylu. Wysyła forpoczty i wabi świat w objęcia sfilistrzałego światoburstwa. Usuwa się w kąt, bacząc by był jak najlepiej oświetlony. Wydrwiwa siebie i drugich, nie wyciągając z treści drwin żadnych konsekwencyi. Dochodzi do formy, w którą owinąć się może każdy, kto dzięki stosunkom towarzyskim, finansowym, rodzinnym lub zawodowym może bez straty drogiego (skądinąd) czasu wdziać na się ten prometeistyczny strój. Zaciekłość bohême w zwalczaniu i przezwyciężaniu dawnych wartości kulturalnych odbija się aż w odrzuceniu zwyczaju porozumiewania się ludzi za pomocą odczytów, a w zainstalowaniu natomiast nowożytnej jadłodajni klubowej. Ite missa est.

Bohême wyrabia sobie styl, pogrążona w dalszej zadumie nad lwowskiem tuberozyzmem. O tem pisano przed kilku laty. Myśl powraca falą wzbierającego morza po chronicznym odpływie w epoce dzieciństwa. Należałoby napisać traktat o dzieciństwie grzecznem i niegrzecznem, wyjątkowem i niewyjątkowem. Przecież bywają dzieci genialne.... grające z maestryą na klawicymbałach. Tu zaszedłby wypadek dokonania w dzieciństwie urzędowej ekspertyzy moralności, której podźwignięciem z grożącego upadku zająłaby się lwowska bohême.

* * *

Takie oto serwituty ciążą na Lwowianinach. Nie krytykować nieziszczalnych odpadków stowarzyszonego życia ludzkiego! Rany, zadane bohême, nie goją się, ale i nie ranią. Niema przedmiotu, na którymby wywrzeć zemstę doraźną za błędy bohême. Gdyż, aczkolwiek wielu do niej przynależeć się zdaje, nikt z nią trwalej nie jest zespolonym. Dlatego w krytycznych momentach mnogo jest oskarżycieli, a tylko straceńcy porywają się na obronę — rzeczy nieistniejącej, choć dla wielu żywotnej. Konfiguracya nastrojów jest dwojaka: z jednej strony mówią uroczyści, a tem samem bezgrzeszni, a z drugiej strony krzyczą, którzy pod względem reklamy dużo mając do zyskania, w zakresie reputacyi konwencyonalnej nic nie mają do stracenia. A choć takie panopticum często gdzieindziej można oglądać, jednakże we Lwowie powtarza się peryodycznie.

Myśl bohême (niezależnego wzór życia), zwróconego ku sprawom sztuki w jej rozległem rozgałęzieniu istnieje we Lwowie w ciągłych wyrazach tęsknoty i nadziei.



AL. R.....SKI.

LIST BERLIŃSKI.

PRZED WYBORAMI DO REICHSTAGU.

Berlin 4. września 1911.

Niemcy przeżywają obecnie osobliwą chwilę. W grudniu najdalej zakończy swój niesławny żywot wybrany 1907 parlament, jeden z najreakcyjniejszych w dziejach Rzeszy. Przez cały czas swego istnienia był on widocznym znakiem bezwzględnego władania garści feodalnych żubrów nad 65-milionowym wysoko ekonomicznie rozwiniętym narodem.

W pięcioletnich swoich dziejach dwa razy zmieniał większość, ale rdzeń jej pozostawał zawsze tensam: dobrany związek baronów „kapuścianych“ z „kominowymi“, stanowiących obie frakcye konserwatywne. Panowie zostawali zawsze ci sami, dwa razy tylko zmieniano służbę: raz stanowili ją „liberali“ — drugi raz pozostający w „nieprzebłaganej opozycyi“ centrowcy. Blok hotentocki pod patronatem Bülowa prowadził przedewszystkiem najdzikszą politykę wynaradawiania; on to stworzył ustawę wywłaszczającą i ustawę o zgromadzeniach, w której, obok szeregu reakcyjnych ograniczeń dla wszystkich poddanych niemieckich, zabroniono używania języka polskiego.

Rosnące kłopoty finansowe Niemiec, spowodowane wzrostem wydatków wojskowych i morskich, poróżniły większość rządową z kanclerzem. Okazało się dobitnie, że Rzeszą rządzi zasada junkierska „der König absolut — wenn er unseren Willen tut“. Kanclerz, który chciał przeprowadzić podwyższenie bezpośrednich podatków, padł — a z łaski przywódcy junkrów Heydebrandta przyszedł Bethmann-Hollweg. Równocześnie odprawiono ze służby liberałów — którzy natychmiast stali się równie „zasadniczą“ opozycyą, jaką byli centrowcy — a przypuszczono do żłóbka rządowego niedawnych „wrogów państwa“, beznarodowych „Römlingów“ — klerykałów. Nowa — czarno-błękitna większość załatwiła trudności finansowe w sposób, który nawet flegmatycznych piwoszów niemieckich wyprowadził z równowagi — uchwaliła 100 milionów marek nowych podatków pośrednich, obciążających wszystkie niezbędne artykuły spożywcze. Czasowo zbiegała się reforma finansowa z rosnącą ogólnie drożyzną, stanowiącą dziś w Niemczech, jak i w reszcie Europy najboleśniejszą kwestyę. Nawiasowo wspomnieć należy, że drożyzna niemiecka jest bez porównania mniejszą od austryackiej, przy wyższych zarobkach, ale wymagania życiowe są o wiele wyższe od naszych, tak, że wzrost drożyzny odczuwają masy nie mniej silnie.

W życiu politycznem Niemiec pociągnęła drożyzna niebywały wzrost radykalizmu, którego wykładnikiem będą niewątpliwie styczniowe wybory, do których już dziś partye polityczne poczyniły wszelkie przygotowania.

Widoki dla dotychczasowej większości przedstawiają się wcale nie wesoło.

Poza kwestyą drożyzny, spowodowanej celną polityką rządu, wysługującego się agraryuszom, wysuwają się kwestye polityczne, jak niezałatwiona sprawa pruskiej reformy wyborczej.

Kraj, o najwyższym po Anglii rozwoju kapitalistycznym w świecie, posiada bowiem ordynacyę wyborczą, wobec której rosyjska jest całkiem postępową, a rządzące junkierstwo żadną miarą nie chce się zgodzić na jej zmianę.

Od 1905 roku toczy się walka o reformę, ale jak dotąd jedynym jej rezultatem jest wzrost rozgoryczenia mas i wzrost jedynej partyi szczerze o reformę walczącej — socyalnej demokracyi. Partya ta, która już w r. 1907 skupiła na swoich kandydatów $3^1/_4$ miliona głosów, rozwija się z niebywałą w dziejach szybkością.

Rdzeń jej — zorganizowani towarzysze, opłacający regularnie wkładki i uczestniczący w zgromadzeniach — liczył w grudniu 1906 (przed wyborami) 384.000 — w $1^1/_2$ roku po klęsce 530.000, 1909 — 633.000, 1910 — 720.000, obecnie 836.000 członków. Jeszcze szybszy rozwój wykazuje organizacya kobiet — przed 2 laty 29.000, dziś 107.000. Partya miała w 1906 regularnych dochodów (z wkładek) 300.000 m. — dziś 911.000. Liczba dzienników socyalistycznych wzrosła w tym czasie z 60 na 81, liczba abonentów podwoiła się i wynosi obecnie $1^1/_2$ miliona. Sam „Vorwärts“ berliński ma ich 160.000, mimo zakazu kolportażu (a pisma berlińskie stoją przedewszystkiem kolportażem).

Związki zawodowe rozwijają się powolniej — ale jednak liczą $2^1/_4$ miliona członków i prześcignęły tego roku angielskie trade-uniony.

Wzrost radykalizmu znalazł dobitny wyraz w uzupełniających wyborach do Reichstagu. Odbyło się ich blizko 40 — wszystkie przedstawiały tensam obraz: olbrzymi spadek głosów wszystkich partyi burżuazyjnych, nie wyjmując frondujących przeciw rządowi liberałów, mniejszy lub większy wzrost głosów socyalistycznych. Wszystkie partye burżuazyjne poniosły straty w mandatach (największe antysemici, którzy nie utrzymali ani jednego z wakujących 3), socyaliści zdobyli 9 nowych, w tem 3 w okręgach czysto rolniczych.

Wobec wzrostu czerwonego niebezpieczeństwa zachowują się żywioły starego świata bardzo rozmaicie. Blok i nacyonalliberali nie widzą oczywiście innych środków zaradczych nad bezwzględne represye, choć środki te osiągają przeciwny skutek — dzisiejsze zradykalizowanie Berlina przedewszystkiem zawdzięcza rząd krwawym masakrom v. Jagowa, który w kilka lat umiał zdyskredytować doszczętnie nawet u najspokojniejszych żywiołów niewzruszony autorytet „schutzmanna“, a ostatnie jego rozporządzenie, grożące policyi karami w razie *zbyt późnego* użycia broni palnej, spotkało się z powszechnem oburzeniem najumiarkowańszych pism liberalnych. Zdaje sobie zdawać sprawę z tego i rząd niemiecki, który nie prowokuje rozruchów podczas demonstracyi, jak to z początku miało miejsce. Proletaryat niemiecki zdobył sobie „prawo do ulicy“, zapłacił za nie bardzo drogo, ale mu nikt go nie neguje.

Wogóle zajmuje dziś rząd bardziej pokojowe stanowisko od junkrów, choć o wiele mniej konsekwentne.

Obszarnicy i stalowo-węglowi magnaci wiedzą czego chcą. Ich ideałem pozostał oldenburgowski porucznik rozpędzający z 10 żołnierzami na cztery wiatry parlament. Korzystając z dotychczasowej większości starają się przeforsować jak najwięcej reakcyjnych ustaw. Galopem przeprowadzono skasowanie autonomii kas chorych, obecnie mają się jeszcze w tej kadencyi zabrać do „ulepszeń“ w prawie prasowem. Centrum

prześciga w neofickim zapale konserwę i świeżo żądało wyrzucenia wszystkich socyalistycznych kolejarzy, bez względu na to, że takie postanowienie wywołałoby strejk o nieobliczalnych następstwach. Rząd oparł się temu żądaniu i stara się łagodzić sytuacyę drobnemi ulepszeniami (ustawa o wielkim Berlinie, o krematoryach, autonomia karykaturalna Alzacyi).

W głównych sprawach tj. w kwestyi celnej i reformy wyborczej sejmowej nie jest skłonnym do żadnych ustępstw.

Żywioły liberalne doskonale scharakteryzował Kautsky, jako piasek, którym nie można ani żadnego gmachu zawalić, ani na nim żadnego zbudować. Wśród nich samych znać silne przesunięcie na lewo: od nacyonalliberałów przez postępowców ku demokratom, których wpływy rosną równie szybko jak socyalistów. Rozporządzają oni oboma najpoczytniejszymi dziennikami berlińskimi i mają szanse przeprowadzić kilku zdolnych ludzi do parlamentu.

Jest to żywioł szczerze postępowy, idący ręka w rękę ze socyalistami. W kwestyi polskiej zajmują uczciwsze stanowisko od skrajnych rewizyonistów socyalistycznych typu dr. Schulza, entuzyazmujących się dla ustawy o wywłaszczeniu. W opinii sfer lewych daje się niestety zauważyć zwrot nas niekorzystny, ale zrozumiały wobec fatalnego stanowiska Koła polskiego w parlamencie. Nie można odmówić racyi słowom Ledeboura rzuconym Polakom, po ich głosowaniu za przedłożeniami rządowemi: „Całujecie but kirasyerski, który was depce“. Koło samo swą katolicko-szlachecką polityką uniemożliwia zbliżenie do lewicy niemieckiej, a czyni to całkiem bezinteresownie, ponieważ ze strony rządu niema cienia ustępstw dla Polaków.

Żywioły konserwatywne niemieckie wygrywają obecnie przed wyborami swój ostatni atut: jest nim sprawa marokańska, wojna z Francyą, Anglią, z kimkolwiek, byle odwrócić uwagę mas od spraw wewnętrznych.

Najpatryotyczniej oczywiście nastrojone są pisma utrzymywane przez Rotszyldów, Mannesmanów, Kruppów i Mendelsonów, wogóle tych, którzyby się na dostawach, uzupełnieniach zbrojeń, pożyczkach itd. najlepiej obłowili, obojętnie czy wojna byłaby wygraną, czy przegraną. Organy ich „Post“ „Tägliche Rundschau“ „Rhein. Westf. Ztg.“ w zapale wojwniczym uderzają na rząd i cesarza, zbyt pokojowo wedle nich nastrojonych.

W szerokich masach ludowych i mieszczańskich ani śladu zapału wojennego, do ostatnich imponujących manifestacyi socyalistycznych za pokojem odnosiła się opinia umiarkowana Berlina dość sympatycznie. Dostawowi patryoci będą musieli, zdaje się, poprzestać tym razem na apetycie. Skorzystają w każdym razie na awanturze afrykańskiej o tyle, że rząd przyjdzie przed nowy parlament z ogromnemi przedłożeniami morskiemi — ale czy zostaną one uchwalone, to zależeć będzie od składu przyszłego Reichstagu, który ma przyjść na świat w tak różnych w porównaniu z dzisiejszym warunkach, że żadnych horoskopów stawiać mu nie można. Pewnem jest tylko to, że wykaże w swym składzie silny zwrot na lewo i jeżli choćby tylko lewi liberali wytrwali w opozycyi przyjdzie do konfliktu rządu i parlamentu.

Ze stanowiska polskiego większych zmian spodziewać się po nim nie można.

SILVA RERUM.

(Ad. L.) O BOJKOT SZKOŁY ROSYJSKIEJ. Kiedy przed paroma miesiącami stronnictwo narodowo-demokratyczne ogłosiło przerwanie bojkotu szkół rządowych w Królestwie Polskiem, odezwał się w społeczeństwie całem głośny protest. Obecnie w ślad za tem dało społeczeństwo nasze dowód, że mimo tej jawnej zdrady nie ustąpi i walkę nadal prowadzić będzie. Liczba uczniów wpisanych do szkół polskich wzrosła o 50 proc.!

Nie wierzący w hart społeczeństwa polskiego, myśleli, że walka przegrana, bo przegrało ją niegdyś najsilniejsze stronnictwo, sądzili, że nie ma dla szkoły polskiej ratunku, bo bez ratunku skompromitował się p. Dmowski. I oto dowód upadku demokracyi narodowej stał się zarazem dowodem istnienia iskierki zdrowej myśli w społeczeństwie, jej hańba dowodem istnienia resztek godności narodowej! I jakże wyglądają głosy tej prasy, która twierdziła tak niedawno, że umożliwić trzeba młodzieży ubogiej dostęp do szkoły? Cóż na to stronnictwo demokraryczno-narodowe? „Gazeta Warszawska“ w artykule p. t. Ze spraw szkolnych likwiduje swoje... zwycięstwo! Stwierdza, że hasła o konieczności przerwania bojkotu tryumf odniosły, bo... szkoły rządowe stoją jak dawniej puste! Że uchwały stronnictwa dowodzą jego powagi ponieważ... społeczeństwo je zlekceważyło. Argumentacya „Gazety Warszawskiej“ jest istotnie ciekawa: „Jedynym rzeczowym i poważnym argumentem, jaki wysuwano zarówno w polemikach jak i poprzednio w dyskusyach, jakie się toczyły w łonie samego stronnictwa — była obawa, że zniesienie t. zw. bojkotu rządowych szkół wyższych i średnich zaszkodzi może istnieniu szkół polskich...

Ale że ze zniesienia bojkotu nikt sobie nic nie robił i nadal szkołę bojkotował — racyę ma p. Dmowski et Comp. Racyę ma p. Dmowski: szkołom polskim nie zaszkodzi uchwała stronnictwa demokratyczno-narodowego, ale odpokutowało tę racyę stronnictwo, a i p. Dmowskiego spotkały „lekkie“ nieprzyjemności...

„Życie obaliło ostatecznie jedyny argument poważny, jakim walczyli zwolennicy t. zw. bojkotu, rozwiało obawy tych, którzy podnosili w dobrej wierze i z głębokiej troski obywatelskiej pewne zastrzeżenie przeciwko uchwałom stronnictwa N. D. w sprawie szkolnej... pisze dalej „Gazeta Warszawska“.

„Okazuje się — pisze „Kuryer lubelski“ — że wszystko jest w zgodzie z uchwałami stronnictwa, nawet Życiie, Życie co to obaliło ten ostatni argument“.

P. Dmowski jest zadowolony. Powiada, że „znalazł wyjście“ i odzyskał honor, zgubiony na ul. Zgoda.

Są ludzie, których życie niczego i nigdy nie nauczy.

Nie nauczy, bo sądzą oni, że obowiązkiem życia jest uzasadnić ich czyny, komentować ich zapatrywania, usprawiedliwiać ich własne nawet istnienie.

Oni wszystko przewidzieli, wszystko wyczuli, a życie ma być ilustracyą tylko tych ich ksiąg Sybilii.

Życie im nigdy kłamu nie zada. Nie!

To życie raczej omylić się może i skłamać...

Wszak oni mają „prawa mocy“ za sobą.

Tradycyę jedynego narodowego stronnictwa.

A narodowa nie myli się nigdy demokracya!...

Artykułowi „Gazety W.“ przytaknęły oczywiście wszystkie organy polskiej reakcyi i polskiej demoralizacyi. Stronnictwo demokratyczno-narodowe wzięło na swe barki ostatni krok odwrotu, jaki zresztą po likwidacyi „ideałów“ konsekwentnie prowadziło. Z próby tej wyszło nietylko bez sławy, ale nawet i bez — armii

Z RADY MIEJSKIEJ. Na posiedzeniu komisyi budżetowej jeneralnym referentem wybrano kandydata mieszczan p. Bolesława Lewickiego 15-tu głosami przeciw 12-tom. które padły na proponowanego przez wszechpolaków p. Ernesta Adama. Wśród stron interesowanych wywołało to konsternacyę. „Słowo polskie“ przemilczało. podając tylko ostateczny rezultat głosowania, bez opowiadania o porażce wszechpolskiej. Coś się nie wiedzie panom „istynnym“.

(ad) PIERWSZE NIEPOROZUMIENIE między klubem n-d. a mieszczańskim nastąpiło na komisyi budżetowej Rady. Rozchodziło się o wybór referenta generalnego, obie zaś strony chciały zadokumentować swoją przewagę moralną przez wybór swojego członka. A że już swego czasu Boy pisał, że „to zawsze jest najgłupsze,

kiedy się kto przy czem uprze“

więc i w tym wypadku do zgody nie przyszło. W głosowaniu referentem został r. B. Lewicki, otrzymawszy trzy głosy nad dra Adama. Kurtuazya nie pozwoliła rozgłaszać zwycięstwa — w prasie też naszej z komunikatów łatwo mogliśmy wywnioskować, że wybór odbył się co najmniej jednogłośnie.

Sądzimy że stosunki obu klubów nie popsują się i do walki ze „wspólnym wrogiem“ pójdą razem, klub zaś obywatelski wyciągnąć może naukę, że... i Strzelnica ma swoje grymasy.

(a-Z) RADA MIEJSKA znów dała dowód, że nie dorosła do roli kierowniczki stolicy kraju i postępowaniem swojem lekceważy najżywotniejsze sprawy ludności. Oto na ostatniem posiedzeniu przy punkcie zawierającym sprawę udzielenia gruntu pod gmach dla Izby rękodzielniczej, poruszył r. Śliwiński sprawę bepośrednio się łączącą a mianowicie sprawę budowy domu ludowego, uchwalonego jako fundacyę grunwaldzką.

Półtora roku mija od czasu, kiedy w uniesieniu święta grunwaldzkiego Rada m. jednogłośnie między innemi budowę „Domu ludowego“ uchwaliła. I plany istniały, zapał ludności i „lewej“ części Rady, by uchwałę jak najszybciej wprowadzić w czyn. Półtora roku trwa to stadyum przygotowawcze, a opozycye sprawy tej nie zasypiała i nieraz przez te usta swych członków, przez artykuły w prasie, a ludność pomagała czynnie upominając się o obietnicę nawet przez demonstracye. Uchwała Rady m. nakazywała prezydyum czy magistratowi o wniesienie projektu przez przeciąg trzech miesięcy, a tymczasem nie zrobiono nic.

Przy wniosku o budowę Izby rękodzielniczej przypominano sprawę domu ludowego, przypomniano ze strony opozycyi w formie energicznej, żądającej wyjaśnienia, jakie stanowisko zajmuje prezydyum wobec uchwały Rady?

Dyskusya jaka się rozwinęła jest bardzo charakterystyczną: nikt nie chciał właściwie przyznać się do winy, ani wziąść na siebie odpowiedzialności, jak gdyby wszybyli od urodzenia najgorętszymi zwolennikami natychmiastowego wykonania uchwały! A jednak nikt nie uwierzy, że Rada w tej sprawie postępuje szczerze i lojalnie.

Bo czemże wytłumaczyć sobie można taką rozbieżność uchwał i ich wykonania? I nasuwają się pytania poco istnieją uchwały, poco istnieje właściwie Rada poza wyborem prezydyum, skoro nie może wpłynąć na tok sprawy, ani nikogo pociągnąć do odpowiedzialności? I jaką rolę stwarza się dla tych wszystkich, którzy posiadają jakąś inicyatywę, a nie są tylko zdecydowani na podnoszenie rąk?

Na lekceważenie opinii wyborców, mniejszości swojej — zdobyć się może każda przygodna większość, ale lekceważenie własnych uchwał jednogłośnie powziętych dowodzi — złej woli przy ich uchwalaniu. Ale w tej sprawie spodziewamy się dalszego naporu opozycyi, a wtedy trzeba będzie odsłonić przyłbicę.

(A-z) HUMOR PROF. STARZYŃSKIEGO. Tajemnicze dzieje projektu sejmowej reformy wyborczej dostały się wreszcie do wiadomości publicznej. Oto na list dra Lea nadesłał odpowiedź referent dr. Starzyński — oczywiście zwalając winę całego zajścia na dra Leo, a tłumacząc swoje postępowanie. Przyznać trzeba, że tłumaczenie to jest bardzo oryginalne i pouczające.

Jak sobie wyobraża p. Starzyński przeprowadzenie reformy wyborczej przez Sejm? Oto nad projektem jego zastanowić się mają następujące czynniki:

a) obrady prezydyów wszystkich klubów polskich na tem, co referent, przebywszy próbę ogniową obrad we własnym klubie, ostatecznie przyniesie (?).

b) obrady prezydyów wszystkich klubów polskich z prezydyami ruskiemi nad tem, na co się polskie prezydya zgodzą.

c) zwołanie sejmowego Koła polskiego i przedstawienie mu żądań prezydyów ruskich.

d) uchwały tegoż Koła polskiego, określające dokładnie na jakich warunkach można się układać z Rusinami o przepuszczenie przez sejm takiej reformy wyborczej, którą Polacy ze swego stanowiska uważają za możliwą.

e) konferencye na tej podstawie z prezydyami klubów ruskich i odwołanie się znów do Koła polskiego.

Gdyby na tych konferencyach doszło ostatecznie do porozumienia, wtedy dopiero przyszłaby kolej na

f) subkomitet komisyi, a potem

g) na pełną komisyę. Gdyby zaś nie doszło, trzebaby rozpocząć rzecz *ab ovo* i oprzeć całą rerormę wyborczą na innej, nowej podstawie.

O ile by na którymś z tych ośmiu szczebli drabiny nie doszło na jakimś punkcie do porozumienia, projekt wracałby się i zaczynałby swą wędrówkę — i tak, aż do skutku. Być może, że lat kilkanaście, a nawet kilkadziesiąt sprawa weszłaby na porządek dzienny sejmu — gdyby ten zechciał tak długo żywot swój pędzić...

W sprawie sejmowej reformy wyborczej widzieliśmy wiele, bardzo dziwnych rzeczy — zrobiliśmy wiele doświadczeń, oglądnęliśmy sporo przyjemnych „kawałów“ — ale ten ostatni nie powstydzi się najlepszych. P. Starzyńskiemu możemy pogratulować... dobrego humoru.

(K.) Ale perłą polskiego humoru, krotochwilą, imci pana Zagłoby godną, jest treść referatu, który prof. Starzyński dzierży w zanadrzu, aby go przeprowadzić następnie przez wszystkie stopnie czyśca dantejskiego. A zatem: tuzin wirylistów. Obszarników 44 (obacz widzenie księdza Piotra „Dziadów“ część trzecia). Posłów miejskich wybranych na podstawie cenzusu 36, natomiast 10 (wyraźnie dziesięciu) wybranych głosowaniem powszechnem, przyczem kunsztowny system wyborczy, dla tej specyalnie wynaleziony kuryi, zapewnia połowę (pięć) mandatów mniejszości, a więc tym właśnie, którzy wybierają tamtych posłów 36; przez figiel przeto szanownego profesora 41 mandatów ma właściwie przypaść po miastach przedstawicielom sfer uprzywilejowanych, zaledwie 5 ludowi roboczemu; przybywają zaś do tych 41 wybrańcy Izb handlowych — ma ich być 5 — i Izb rękodzielniczych w liczbie 2; słowem 48 posłów mieszczaństwa, oddzielonego od robotników i robotnikom tym przeciwstawionego! Ale na wsi (mandatów 80) najśmieszniejsze figliki. „Władza wyborcza“ kreowana przez rządzące stronnictwa, stanowi o dopuszczeniu kandydatur i kasuje wybór kandydatów, których nie zatwierdziła! Wyborcy — furda. Ale i skład tych wyborców obmyślono cudnie. Pluralność na wszystkie boki. Po dwa głosy przyznano np. lokajom i furmanom dworskim.

Rzeczywiście, referat szanownego Profesora domagał się kuracyi, tylko nie maryenbadzkiej; do sądzenia o nim powołane są nietyle czynniki polityczne, ile psychiatryczne. Może i dobrze, że prof. Starzyński nie wrócił jako poseł do Wiednia. Oczarowani jego projektem, mogliby go Wiedeńczycy wpakować w gablotkę *Naturhistorisches Hofmuseum* jako okaz z epoki Dilluvium.

(m) JĘZYK W METRYKACH GALICYJSKICH OBRZĄDKU ŁACIŃSKIFGO. Dostaliśmy przypadkiem w ręce metrykę katolicką z dyecezyi ołomunieckiej. Metrykę napisano po niemiecku. Dlaczego inaczej jest u nas, dlaczego nasze dokumenty kościelne dla użytku stron wystawia się po łacinie. Nie nakazuje tego żaden przepis kościelny, stoi to w sprzeczności z praktyką urzędową w Austryi, gdzie w tym wypadku urzędy parafialne zastępują władze świeckie, powinny zatem wystawiać metryki i inne dokumenty w języku krajowym, a więc w Galicyi po polsku lub po rusku. Gdyby kościół był odłączonym od państwa, dokumenty takie wystawiałoby się w Galicyi niewątpliwie po polsku. Cóż stoi na przeszkodzie, że dzisiaj dzieje się inaczej. Bronimy się przeciw językowi niemieckiemu, panoszącemu się jeszcze w niektórych działach administracyi galicyjskiej, powinniśmy się tak samo bronić przeciw godzącej w nasze prawa językowe niezrozumiałej dla ogółu łacinie, w dodatku mówiąc bardzo kuchennej. Duchowni łacińscy, prawiący przy uroczystościach bardzo wyniośle o patryotyźmie, powinni to zrozumieć, jeżeli zaś zrozumieć nie chcą, powinni być przymuszeni. Nie zależy im chyba na tem, ażeby naśladowali rząd pruski i rosyjski i gwałcili w Polsce prawa języka polskiego — i to w tej właśnie prowincyi, gdzie język polski posiadł swoje prawa. Rusini wystawiają swoje metryki po rusku, żydzi Polacy po polsku, dlaczegoż katolicy Polacy mają być gorszymi od nich miłośnikami i obrońcami języka ojczystego. Sprawa nie jest drobną, przeciwnie jest bardzo charakterystyczną dla rodzimego ultramontanizmu. Usprawiedliwienia niema żadnego,

gdyż jest tutaj tylko albo zła, albo niemądra a szkodliwa wola. „Tłumowi“ parafian niezrozumiałe języki już dzisiaj nie imponują, niechże tedy episkopat galicyjski nakaże okólnikami poszanowanie dla języka polskiego, niech ewentualnie przez opinię publiczną będzie do tego przynaglony.

(m) MAJACZENIA W STARYCH DWORACH. Niejaki p. Adam hr. Orłowski rozesłał przed kilku miesiącami po świecie osobliwą elukubracyę p. t. „Konkurs międzynarodowy na program Jednosławów 1910 r. i list do soboru rosyjskiego“. Pan hrabia z Podola postanowił ani mniej ani więcej, jak tylko nawrócić Rosyę na katolicyzm rzymski i „zrównoważyć absolutyzm prawosławny i preponderacyę hegemonii Prus protestanckich“. Dla myśli swojej pozyskał — jak wylicza — szereg egzotycznych dygnitarzy rzymskich, otrzymał także słowa zachęty między innymi od panów: hr. St. Tarnowskiego, ks. Gabryla, St. Głąbińskiego, B. Dembińskiego i K. Zdziechowskiego. Bagatela. Związek zwolenników hr. Orłowskiego „ma na celu tryumf Kościoła przez Polskę“, na protektora prosi „błagalnie“ Jego Świątobliwość Piusa X. Chodzi mu także o przeciwdziałanie socyalizmowi. W socyaldemokratach jest coś takiego, — napisał Bebel (według cytatu p. Orłowskiego) — co budzi względem ich nauki współczucie. „Beblowskie „coś takiego“ — polemizuje hr. Orłowski — jest to potworna pycha ludzka, propaganda pisarzy, uczonych, potężnych talentów, oddziaływujących w kierunku pochlebiania ambicyi i samowoli mas, wśród których oni odgrywają rolę świeczników, z nienawiścią do chrześcijaństwa za jego pokorę...“ „Duch Powszechnego Kościoła, — kończy swoją elukubracyę inicyator związku — przechowany w Męczennicy polskiej zbawi Słowiańszczyznę, — tak jak Zbawiciel męką odkupił ludzkość. On połączy Zachód i Wschód poważnione; dostąpi może szczęścia objąć w modlitwie przedstawiciela Piotra, papieża Piusa X, i drugiego Konstantyna, obrońcę Kościoła, cesarza Mikołaja II. Sobór rosyjski ma obsądzać środki udoskonalenia Prawosławia — spieszy mu z braterską dłonią na spotkanie Towarzystwa Jednowiernych Słowian — przedwiestnik (!) nowych er“.

Mamy tu najwidoczniej do czynienia z sui generis obłąkaniem, jakiego przykład poznała niedawno opinia z broszury innego apostoła, hr. Korwin-Milewskiego. Prasa ma wszakże obowiązek głosy takie cytować i podawać do wiadomości, zwłaszcza, że apostołowie owi mają zwolenników wśród znanych w kraju osobistości. Nie możemy jednak przemilczeć jednej uwagi. Cały świat pracuje nad podniesieniem i uszlachetnieniem człowieka, u nas dla tych celów nic się prawie nie robi ze strony wielmożów, majaczy się natomiast o apostolstwach księżycowych i bajdurzy się banialuki o niebezpieczeństwie masoneryi. Czyżby już nawet prosty, zdrowy rozsądek żubry podolskie opuścił, czy nad krainą starych dworów rozpostarły się same tylko mgławice i rozhukane puszczyki. Czy w Polsce tak już jest dobrze, że do szczęścia brakuje jej tylko nawrócenia Rosyi na wiarę rzymską. Przecież do tego samego dążą prawosławni czarnoseciñcy rosyjscy — co prawda w kierunku przeciwnym, gdy chcą nawrócić katolików polskich na wiarę prawosławną. Co wtedy stanie się z obu narodami, gdy takie przeciwstawne dążenia zdobędą namaszczenia apostolstwa, gdy rozpocznie się obustronne nawracanie. Strach pomyśleć, jakie majaczenia tłuką się po mózgach polskich błękitnokrwiaków.

Z RAPTULARZA.

POD ZNAKIEM WALK o wolność polityczną i niezadowolenia z istniejących stosunków ekonomicznych, przedewszystkiem drożyzny stał cały ubiegły tydzień.

WALKA PRZECIW DROŻYŹNIE nie powróciła po ostatnich zaburzeniach do równowagi. Francya, gdzie zaburzenia drożyźniane ponowiły się w Sedanie — w Anglii z żywiołową siłą odnawia się strejk kolejowy, połączony z zaburzeniami w Dublinie, ale najlepszym dowodem powszechności zjawiska są zajścia wiedeńskie.

Rozpacz wygłodzonych mas doprowadziła do zajść, których by się nikt po dobrodusznej stolicy naddunajskiej spodziewać nie mógł. W niedzielę urządziła socyalna demokracya we wszystkich ważniejszych miastach imponujące demonstracye antydrożyźniane. We Wiedniu namiestnik Bienerth (b. premier) przyczynił się do obrotu tych manifestacyi nader niemiłego dla jego następcy. Plac przed ratuszem i wielką salę zapełniło 150.500 ludzi, nie chcących dalej głodować. Na zgromadzeniu podnosiły się okrzyki dowodzące krańcowego podrażnienia ludności „Niech żyje Portugalia“, „Niech żyje strejk generalny“, „Niech żyje rewolucya“. Samorzutnie sformował się po zgromadzeniu olbrzymi pochód, który ruszył pod Ringstrasse. Ostentacyjne przygotowania rządu, który zgromadził na ulicach masy piechoty bośniackiej, huzarów i ułanów i wysypał piaskiem ulice dla ułatwienia szarż konnicy, jakoteż brutalność niektórych agentów doprowadziły tłum do najwyższego rozdrażnienia, tak, że wystarczył ślepy strzał, dany przez nieznanego w tłumie człowieka, by spowodować atak na gmach trybunału państwowego, w którym wybito szyby. Wojsko robiło użytek z białej broni i rozpoczęły się trwające do nocy rozruchy: przed trybunałem, koło ratusza, w którym również wybito szyby i na Ottakringu, gdzie zaburzenia przybrały najostrzejszy charakter. Tłum atakował szkołę, w której podwórzu stał pluton bośniacki i zupełnie ją zdemolował. W tym miejscu wojsko dało salwę, która pociągnęła za sobą mnóstwo ofiar; na wielu punktach Ottakringu stawiano barykady i niszczono tramwaje. Koło Burgu obrzucił tłum kamieniami powóz dworski. Poseł socyalistyczny David, starający się uspokoić demonstrantów, został koło ratusza ciężko pobity. Żywiołowość wybuchu i niszczenia wszystkiego, co wpadnie pod rękę, dowodzą, że tłumem rządziła rozpacz; głód dobrym doradcą nigdy nie był. Ale trudniej usprawiedliwić działanie władz. Rąbano i strzelano ludzi zupełnie spokojnych. Jakiś robotnik przebity został na śmierć przez kadeta, w chwili gdy stał na trotuarze sam i nie brał żadnego udziału w ekscesach, śmiertelnie raniła kula dziewczynę, która schroniła się do bramy trafiki, wiarogodni świadkowie konstatują, że żołnierze rąbali rannych, leżących na ziemi. Ostateczny bilans dnia: 1 zabity, 2 śmiertelnie i 90 ciężej lub lżej rannych. Mnóstwo rannych ukryto po domach, tak, że liczba ofiar jest o wiele większą. W niedzielę i poniedziałek aresztowano kilkaset ludzi. Półurzędowe pisma grożą stanem wojennym. Czy doprowadzanie ludności do rozpaczy leży w interesie rządu jest rzeczą wątpliwą, tem bardziej, że o sztucznej agitacyi dziś mowy być nie może. Nie partya socyalistyczna, ale sama masa robotnicza prze do strejku generalnego. Okazują to uchwały szeregu zgromadzeń, a najpotężniejszego z nich w Pradze.

W KIJOWIE wykonał członek socyalistyczno-rewolucyjnej bojówki rosyjskiej, pomocnik adwokacki, Dymitr Bagrow zamach na prezesa ministrów Stołypina. Otrzymawszy od naczelnika ochrany kijowskiej, osławionego Kultjdpki, którego złudził pozornem wstąpieniem do ochrany, bilet na przedstawienie galowe, na którem był obecnym car i Stołypin, dał podczas antraktu dwa strzały do premiera. Stołypin, trafiony w rękę i brzuch, umarł we dwa dni po zamachu. Bagrowa ujęli dobrowolni agenci w osobie hr. Czapskiego i p. Rogozińskiego — Polaków, a publiczność żandarmsko-czarnosecinna strasznie go pobiła. W szlachetnej roli wystąpił tu hr. Józef Potocki, który miał ugodzić Bagrowa lornetką w głowę. Bagrowa, który zachował niezłomną odwagę, poddano podobno w śledztwie strasznym torturom. Skazanie go na śmierć nie ulega wątpliwości. *Ad usum* zagranicy robi policya nastrój dla zabitego premiera, zmuszając pisma do zamieszczenia, pod grozą zawieszenia, podyktowanych dytyrambów na cześć Stołypina; petersburskie dzienniki zmuszono do ukazania się w czarnych obwódkach. Polscy panowie-magnaci zamówili w Kijowie nabożeństwo na intencyę wyzdrowienia premiera i teraz modlą się zapewne za jego grzeszną duszę.

Kilka dni przedtem wykonał oddziałek kaukazkich rewolucyonistów nieudały a niesłychanie zuchwały napad na arsenał twierdzy Kercz. W obozie wojskowym pod Radomiem odkryły władze „masówkę“ żołnierską piechoty i artylerzystów (samych Rosyan). Większość zgromadzonych uszła, aresztowano 7 podoficerów i 9 żołnierzy.

W HISZPANII rozruchy drożyźniane przeszły w strejk generalny, a ponieważ rząd Canalejasa odpowiedział zawieszeniem konstytucyi, króra zresztą istnieje w Hiszpanii sezonowo, przyszło do zaburzeń o wręcz rewolucyjnym charakterze. Komunikacya przerwana przez wysadzenie w powietrze mostów; ruch objął Bilbao, Barcelonę, Saragosę, Walencyę i Sewillę; wszędzie przychodziło do ostrych starć z wojskiem; w Alcivie i Cartagenie proklamowano komunę.

W PERSYI przyszło do decydującej bitwy między armią rządu rewolucyjnego, a exszachem. Machmed Ali zupełnie pobity uszedł na statek rosyjski. Wyszły na jaw szczegóły, dowodzące bezpośredniego udziału rządu rosyjskiego w organizowaniu kontrrewolucyi. Zdobyte obecnie armaty (około 20) przesłano przez granicę rosyjską. jako wodę mineralną. Wojska exszacha składały się z hord Kurdów i Turkmenów, używanych poprzednio do pogromów Ormian kaukazkich, a dowodzili nimi oficerzy rosyjscy. Walka nie skończona; na placu pozostał jeszcze jeden oddział reakcyonistów, oblęgający obecnie Tebrys.

W CHINACH odżyła przygnieciona po barbarzyńskim stłumieniu Kantonu rewolucya w prowincyach nad górnym Jangtsekiangiem. Powstańcy, do których przeszła część wojsk, zdobyli główne miasto Seczuanu, Czeng-Tu. Wicekról uciekł.

Gdy na Wschodzie walą się resztki przeżytych ustrojów, zbiera się powoli w zachodniej Europie groźna burza, skutek szalejącej obecnie drożyzny.

Z dniem 30 września pismo nasze zamyka rok swego istnienia.

W ciągu roku tego „Życie“ rozwinęło się, wypracowało sobie własne ideowe oblicze, stanęło odważnie na zdawna opuszczonej pozycyi i pod gradem pocisków wytrwać tam zamierza do ostatka. Zdobyło sobie wrogów możnych i zaciętych; ale skupiło również dokoła siebie zastęp liczny ludzi duchem żywych, walczyć chcących za sprawę wolności i postępu.

Od nich domaga się „Życie“ stałego współdziałania, pomocy czynnej. W ich ręku jest los pisma i dalsze jego istnienie.

„Życie“ poświęca w każdym zeszycie artykuł naczelny podstawowym zagadnieniom polityki narodowej. Szereg artykułów zagadnieniom bieżącym życia społecznego i narodowego w trzech zaborach i na obczyźnie. W każdym zeszycie poświęca kart kilka literaturze, sztuce i wiedzy. Zamieszcza utwory literackie wybitnych pisarzy, zestrojone z duchem pisma. Piórem fachowców porusza przysypane od pół wieku u nas pyłem niepamięci, a zajmujące dziś tak żywo całą Europę, zagadnienia wojskowości i wojny. Uderzeniami mizerykordyi rozprawia się z wstecznictwem, przewrotnością i obłudą.

W „Życiu“ zamieścili swe utwory literackie: Stanisław Barącz, Witołd Bunikiewicz, Bogusław Butrymowicz, Gustaw Daniłowski, Stanisław Falkiewicz, Feliks Gwiżdż, Józef Jedlicz, Juliusz Kaden, Jan Kleczyński, Marya Markowska, Władysław Orkan, Władysław Orwid, Wiktor E. Pordes, Wacław Radziszewski, Jadwiga Sarnecka, Savitri, Andrzej Strug, Sydir Twerdochlib i wielu innych.

Współpracownikami „Życia“ byli: Dr. Tobiasz Aschkenase, Ignacy Daszyński, Marya Dulembianka, Wilhelm Feldman, Tadeusz Grużewski, Dr. Władysław Gumplowicz, Dr. Michał Janik, Dr. Witołd Jodko, Ludwik Kulczycki, Dr. Helena Landau, Bronisław Laskownicki, Dr. Bolesław Limanowski, Dr. Aleksander Lisiewicz, Iza Moszczeńska, Andrzej Niemojewski, Artur Śliwiński, Hipolit Śliwiński, Dr. Michał Sokolnicki, Konstanty Srokowski, Marya Turzyma, Leon Wasilewski i bardzo wielu innych.

„Życie“ drukuje obecnie powieść Jana Kleczyńskiego

***„Julek“** (Portret współczesny).*

Nowi prenumeratorzy otrzymają początek powieści bezpłatnie.

Każdy numer „Życia“ zawiera 16 stron druku.

Prenumerata wynosi:

Rocznie 20 kor. Półrocznie 10 kor. Kwartalnie 5 kor.

Administracya: Lwów, Dąbrowskiego 2.

Stowarzyszenia kulturalne, zrzeszenia nauczycielskie, akademickie i robotnicze otrzymują „Życie“ na żądanie po cenie zniżonej.

ROCZNIK XIII. WRZESIEŃ 1911.

KRYTYKA

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY SPRAWOM SPOŁECZNYM, NAUCE I SZTUCE.

Część pierwsza.

1. **(f).** Postępy sprawy narodowościowej.
2. **Dr. Edward Lewiński:** Socyologia Giddingsa.
3. **J. Waga:** Z zagadnień lewicy polskiej.
4. **Edward Grabowski:** Polityka społeczna w Europie a Austrya.
5. **Przegląd:**
   I. Sprawa Rapperswilska.
   A. **Bron. Urbański:** Sąd.
   B. **Dr. M. Sokolnicki:** Wyjaśnienie.
   II. **K. Este:** Endecya w roli likwidatora bojkotu szkolnego w Królestwie.
6. Sprawozdania.

Część druga.

1. **Tad. Nalepiński:** Książę niewolny. Prolog.
2. **J. Wład. Dawid:** O intuicyi w filozofii Bergsona.
3. **Miecz. Rettinger:** O trylogii Przybyszewskiego.
4. **Zygmunt Kisielewski:** Wędrowiec. Tryptyk.
5. **Zygmunt Malewski:** Artysta. Przekład z F. K. Ginzkeya.
6. **H. Sand:** O twórczości i życiu.
7. **Przegląd:**
   I. **(x)** Teatr krakowski.
   II. **Bol. Walewski:** O muzyce w Krakowie słów kilka.
   III. Sprawa rapperswilska. — C. Konkluzye.
   IV. **M. Skrudlik:** I. Wystawa niezależnych w Krakowie.
   V. **Tadeusz Bezimienny:** Ze sztuki i z życia.
8. Sprawozdania. Z badań historyczno-literackich. Z literatur obcych.

Dodatek artystyczny.

Jacek Malczewski: Portret własny. — **Włodz. Tetmajer:** Wietrzny dzień. — **Ksawery Dunikowski:** Studyum. — **Edw. Okuń:** Portret własny. — **L. Kowalski:** Dziewczynka. — **Al. Nowakowski:** Dziewczyna z różą.

PRENUMERATA WYNOSI:

	w Austryi		zagranicą		w Król. i Rosyi
rocznie	K 20	Mk. 20	fr. 24	Dol. 5	rb. 10
półrocznie	» 10	» 10	» 12	» 2·50	» 5
kwartalnie	» 5	» 5	» 6	» 1·50	» 2·50
Nr. pojed.	» 1·75	» 2			» 1

Adres Redakcyi i Administracyi: **Kraków, Stachowskiego 14.**